

JOHN BOYNE

# Chłopiec w pasiastej piżamie



**JOHN BOYNE**

# **Chłopiec w pasiastej pizamie**



*Dla Jamie'ego Lyncha*

## Bruno dokonuje odkrycia

Pewnego popołudnia, wróciwszy ze szkoły, Bruno ze zdumieniem stwierdził, że pokojówka Maria, która wiecznie chodziła ze spuszczoną głową, zapatrzona w dywan, wyciąga mu z szafy wszystkie ubrania i pakuje do czterech drewnianych skrzyń. Wyjęła nawet pochowane skarby, których nie miał prawa ruszać nikt oprócz niego.

- Co robisz? - zapytał najgrzeczniej, jak się tylko dało, bo choć był niezadowolony, że ktoś mu grzebie w rzeczach, matka zawsze go upominała, aby do Marii odnosił się z szacunkiem, a nie naśladował ton ojca.

- Tak nie wolno!

Maria pokręciła głową, wskazując schody za nim, gdzie przed sekundą pojawiła się matka Brunona. Była wysoka i miała długie rude włosy, spięte wysoko siatką. Teraz nerwowo splotła dłonie, jak gdyby zmuszona oznajmić coś nieprzyjemnego lub coś, w co sama nie bardzo wierzy.

- Mamo - zwrócił się do niej Bruno - Co się dzieje? Czemu Maria grzebie w moich rzeczach?

- Musi je spakować - odparła matka.

- Spakować? - powtórzył, przebiegając w myśli zdarzenia minionych kilku dni, żeby sobie przypomnieć, czy przypadkiem czegoś nie przeszkrobał, albo też głośno nie wypowiedział jakiegoś zakazanego słowa, i teraz go spotyka zasłużona kara. Niczego jednak nie pamiętał. Bo tak naprawdę przez ostatnie dni zachowywał się wyjątkowo przyzwoicie i nikogo, ale to nikogo nie wyprowadził z równowagi.

- Ale czemu? - spytał po namyśle. - Co ja takiego zrobiłem?

Matka zdążyła już przejść do swojego pokoju, gdzie z kolei jej rzeczy pakował kamerdyner Lars. Z westchnieniem gniewu, wzniosłszy ręce, wróciła na schody, a za nią Bruno, który się uparł, aby wyjaśnić tę tajemniczą sprawę.

- O co tu chodzi, mamo? Czy my się wyprowadzamy?

- Proszę ze mną na dół - odrzekła matka, kierując się w stronę wielkiej jadalni, gdzie tydzień temu siedział Furia, gdy przyszedł na kolację. - Tam sobie pomówimy.

Bruno zbiegł po schodach, wyprzedzając matkę, tak że w jadalni znalazł się pierwszy.

Przez chwilę patrzył na nią bez słowa, rozmyślając, jak to pewnie rano brakło jej czasu, aby się starannie umalować, bo oczy miała bardziej czerwone niż normalnie i podobne do jego oczu, kiedy coś przeszkrobał, a później płakał.

- Nie martw się, Bruno - powiedziała matka, siadając na tym samym krześle, co

prześliczna blondynka, która ich odwiedziła z Furią i nawet mu pomachała, gdy ojciec zamykał drzwi jadalni. - Bo to się zapowiada jako wspaniała przygoda.

- Ale co? - zapytał chłopiec. - Gdzieś mnie wysyłacie?

- Nie, nie wyjeżdżasz tylko ty - odpowiedziała z taką miną, jakby się miała uśmiechnąć, lecz po zastanowieniu tego nie zrobiła. - Jedziemy wszyscy. Ojciec, ja, ty i Gretel. W czwórkę.

Słyszając to, Bruno się nachmurzył.

Guzik by go obchodziło, że Gretel gdzieś wyjeżdża, bo ona to przecież Beznadziejny Przypadek, który mu tylko przysparza kłopotów. Ale nie podobało mu się, że Gretel też musi z nimi jechać.

- A dokąd? - spytał Bruno. - Dokąd się wybieramy? Czemu nie można zostać tutaj?

- Przez wzgląd na pracę ojca - wyjaśniła matka. - Wiesz chyba, jakie to ważne, prawda?

- Tak, jasne - odparł Bruno, kiwając głową, bo w domu bez przerwy pełno było różnych gości i panów w niesamowitych mundurach, i pań z maszynami do pisania, których nie wolno tykać brudną ręką gości nadzwyczaj uprzejmym wobec ojca, którego zawsze stawiali sobie za wzór, a z którym, jak to się mówiło, Furia wiąże ogromne nadzieje.

- Więc czasem - ciągnęła matka gdy ktoś jest bardzo ważny, to ten, co go zatrudnia, wysyła go gdzie indziej, bo tam mu się szykuje wyjątkowe zajęcie.

- To znaczy: jakie zajęcie? - spytał Bruno, bo mimo że zawsze chciał być w zgodzie z własnym sumieniem, to, prawdę powiedziawszy, nie miał pojęcia, na czym też polega praca jego ojca.

Gdy w szkole rozmawiali na ten temat, Karl powiedział, że jego ojciec jest kupcem warzywnym i Bruno stwierdził, że to prawda, bo prowadzi w mieście taki sklep z warzywami.

Daniel powiedział, że jego ojciec jest nauczycielem, i Bruno stwierdził, że to prawda, bo uczy takich dużych chłopaków, od których lepiej trzymać się z daleka.

A Martin powiedział, że jego ojciec pracuje jako szef kuchni, i Bruno też stwierdził, że to prawda, bo czasem zabiera Martina spod szkoły i zawsze ma na sobie biały kitel i fartuch w kratkę, tak jakby dopiero co skończył gotowanie.

Lecz zapytany, czym się zajmuje jego ojciec, Bruno otworzył usta, żeby im powiedzieć, po czym sobie uzmysłowił, że właściwie nie wie odpowiedział tylko, że jest on wzorem doskonałości oraz że Furia wiąże z nim wielkie nadzieje. Aha, i jeszcze że nosi kapitalny mundur.

- Zajęcie niesłychanie ważne - po chwili wahania rzekła matka. - Przeznaczone tylko

dla osób wyjątkowych. Rozumiesz, prawda, Bruno?

- I dlatego wszyscy mamy jechać? - zdziwił się Bruno.

- Naturalnie - odparła matka. - Chyba nie chciałbyś, żeby ojciec wybrał się tam w pojedynkę i potem czuł się samotnie, prawda?

- No, raczej nie - odpowiedział chłopiec.

- Okropnie by za nami wtedy tęsknił - dodała.

- A za kim tęskniłby bardziej? - spytał Bruno. - Za mną czy za Gretel?

- Za każdym po równo - odrzekła matka, święcie przekonana, iż nigdy nie powinno się nikogo faworyzować, a Bruno szanował ten pogląd, zwłaszcza że sam był właśnie ulubieńcem matki.

- A co będzie z domem? - zapytał. - Kto się nim zajmie, kiedy nas nie będzie?

Westchnąwszy, matka rozejrzała się po pokoju, tak jakby miała go już nigdy więcej nie oglądać. Ich dom był wprost prześlizgnięty, trzypiętrowy. W suterenie kucharka codziennie przygotowywała posiłki dla rodziny, a Maria z Larsem przy stole kłócili się i obrzucali wyzwiskami, których używać nie wolno.

Dom miał jeszcze pokoik na poddaszu, ze spadzistymi oknami, przez które Bruno mógł podziwiać Berlin, stając na palcach i z całej siły przytrzymując się framugi.

- Na razie trzeba go będzie zamknąć - odpowiedziała matka. - Ale kiedyś na pewno tu wrócimy.

- No, a co z kucharką? - spytał chłopiec. - Z Larsem? Z Marią? To oni nie zostaną?

- Jadą z nami - wyjaśniła matka. - Ale dość już pytań. - Może byś tak poszedł pomóc Marii w pakowaniu?

Bruno wstał, nigdzie jednak nie poszedł. Miał ochotę zadać jeszcze kilka pytań; dopiero wtedy był gotów uznać rzecz za załatwioną.

- A jak to daleko? - spytał. - Ta nowa praca. Ponad kilometr od nas?

- Ależ - odrzekła matka z uśmiechem, ale takim dziwnym; w ogóle nie sprawiała wrażenia radosnej i odwróciła się od Brunona, jakby chcąc uniknąć jego wzroku. - Tak, Bruno dokończyła. Ponad kilometr. Prawdę powiedziawszy, znacznie ponad.

Bruno szeroko otworzył oczy, a usta rozwarły mu się w kształt literki "O". I rozłożył ręce, jak zwykle, gdy coś go wprawiało w zdumienie.

- Ale nie wyjedziemy z Berlina? - zapytał, z trudem łapiąc oddech.

- Oj, niestety, tak. Zajęcie ojca, widzisz.

- A szkoła? - przerwał Bruno, choć wiedział, że tak nie wolno, ale wiedział również, że teraz ujdzie mu to na sucho. A Karl, Danieli Martin? Jak mnie znajdą, kiedy zachce im się

razem pobawić?

- Na razie będziesz się musiał pożegnać z przyjaciółmi - odrzekła matka. - Choć z pewnością za jakiś czas znowu się zobaczycie. I proszę, byś nie przerywał matce, gdy do ciebie mówi - dodała, bo chociaż były to wieści dziwne i niemile, to Bruno mimo wszystko nie powinien był łamać wpojonych mu zasad dobrego wychowania.

- Jak to: pożegnać? - spytał, wytrzeszczając oczy ze zdziwienia. - Z nimi pożegnać? - parsknął w taki sposób, jakby te słowa były nie przezutymi herbatnikami, które wypełniają usta i nie da się ich przełknąć. - Pożegnać się z Karlem, Danielem i Martinem? - ciągnął, niemal już krzyżąc, co w domu było zabronione. - Ale to moi trzej najwierniejsi przyjaciele!

- Oooh, znajdziesz sobie nowych - stwierdziła matka, lekceważąco kiwając ręką, tak jakby trzech najlepszych przyjaciół można było znaleźć ot, tak sobie.

- Ale myśmy mieli różne plany - zaprotestował chłopiec.

- Plany? - spytała, unosząc brwi. - A to niby jakie?

- Nie zdradza się takich rzeczy - odpowiedział Bruno, nie mogąc jej wyjawić, na czym też dokładnie polegają plany, w których mieściło się wyprawianie browaru, zwłaszcza za kilka tygodni, bo właśnie nadchodziły letnie wakacje. A wtedy nikt już nie robi żadnych planów, tylko najzwyczajniej w świecie zajmuje się ich spełnianiem.

- Przykro mi, Bruno - powiedziała matka, - ale będziecie musieli z tego zrezygnować. Nic na to nie poradzimy.

- Ale mamo!

- Dość tego, Bruno - ucięła, prostując się, by nie miał wątpliwości, że nie ma sensu brnąć w to dalej. - Czyżbyś już zapomniał, jak bodaj tydzień temu skarżyłeś się na różne zmiany, które tu ostatnio zachodzą?

- Mhm, bo mi się wcale nie podoba, że pod wieczór trzeba w całym domu gasić światło - przytaknął Bruno.

- Wszyscy tak muszą robić - pouczyła matka. - Wtedy jest bezpieczniej. A może ta przeprowadzka zapewni nam większe bezpieczeństwo. Nie marudź już, tylko idź na górę i pomóż Marii w pakowaniu. Ze względu na pewne osoby nie mamy na to tyle czasu, ile bym sobie życzyła.

Bruno skinął głową i oddalił się zasmucony. Wiedział doskonale, że "pewne osoby" w świecie dorosłych znaczą "ojciec" i że jemu nie wolno się tym określeniem posługiwać.

Powlókł się schodami, chwytając poręcz jedną ręką i rozmyślając, czy ten nowy dom w nowym miejscu, gdzie czeka ta nowa praca, też będzie miał taką świetną poręcz do zjeżdżania. Bo poręcz w tym domu biegła od najwyższego piętra zaraz od pokoiku, gdzie

stojąc na palcach i przywierając do framugi, mógł podziwiać Berlin - aż do samego parteru i kończyła się tuż przed podwójnymi dębowymi drzwiami. A Bruno najbardziej ze wszystkiego lubił siadać na poręczy pod tym pokoikiem i przez calutki dom zjeżdżać na dół ze świstem.

Z najwyższego piętra na niższe, gdzie mieścił się pokój rodziców oraz duża łazienka i gdzie pod żadnym pozorem nie wolno mu było wchodzić.

Potem na następne, gdzie mieścił się jego pokój i pokój Gretel, i mniejsza łazienka, z której powinien korzystać o wiele częściej, niż korzystał.

A później na parter, gdzie zlatując z poręczy, należało lądować na dwóch nogach, bo inaczej traciło się pięć punktów, tak że trzeba było zaczynać od samego początku.

W tym domu najfajniejsza była właśnie poręcz, no i to, że dziadek z babcią mieszkali tak blizutko. Bruno się zastanawiał, czy oni też jadą. Pomyślał, że pewnie tak, bo raczej nie można było ich zostawić.

Na brak Gretel nikt by chyba za bardzo nie narzekał, bo przecież ona to Beznadziejny Przypadek, więc byłoby dużo prościej, gdyby się zajęła domem pod ich nieobecność, ale dziadek z babcią to zupełnie co innego.

Bruno wolno skierował się do swego pokoju, ale zerknąwszy przedtem na dół, na parter, zobaczył, jak matka wchodzi do gabinetu ojca mieszczącego się naprzeciw jadalni i Niedostępnego Zawsze Bez Wyjątku. Zaraz usłyszał też, że głośno mówi coś ojcu, a on jej po chwili odpowiada jeszcze głośniejszym głosem, no i tak się kończy rozmowa między nimi.

Potem drzwi do gabinetu się zamknęły i Bruno, już więcej nie mogąc dosłyszeć, uznał, iż najlepiej będzie wrócić do pokoju i samemu wziąć się do pakowania, bo Maria powyciąga mu z szafy wszystko bez ładu i składu, nawet te pochowane skarby, których nie ma prawa ruszać nikt oprócz niego.



## Nowy dom

Na widok nowego domu Bruno wytrzeszczył oczy, rozwarł usta w kształt literki "O" i rozłożył ręce. Wszystko wyglądało tak inaczej niż w tym dawnym, że chłopiec nie chciał wierzyć, aby naprawdę mieli tutaj się wprowadzić.

Berliński dom stał sobie przy spokojnej ulicy, w otoczeniu jeszcze kilku podobnych i równie dużych domów, więc zawsze miło się na nie spoglądało, bo były prawie takie same jak dom Brunona, chociaż nie do końca, i mieszkali w nich chłopcy, z którymi się bawił (jeśli byli przyjaźni) albo którym schodził z drogi (jeśli się chcieli czepiać).

Tymczasem nowy dom stał całkiem samotnie na jakimś pustkowiu i w zasięgu wzroku nie było żadnych innych, co oznaczało, że wokół nikt nie mieszkał, a wobec tego nie było w ogóle żadnych chłopców, ani przyjaciół, ani wrogów.

Dom w Berlinie był ogromny i mimo że Bruno spędził w nim dziewięć lat, to i tak co rusz znajdował różne zakamarki i kąty, których nie zdążył gruntownie przebadać.

Mieściły się tam nawet i takie pokoje jak choćby Niedostępny Zawsze Bez Wyjątku gabinet ojca gdzie nie wchodził prawie nigdy.

Nowy dom tymczasem miał tylko jedno piętro, gdzie znajdowały się wszystkie trzy pokoje i tylko jedna łazienka, parter z kuchnią, jadalnią oraz nowym gabinetem ojca (w którym, jak stwierdził, obowiązywały identyczne zasady jak w dawnym) i suterенę, gdzie sypiała służba.

Wokół domu berlińskiego pełno było ulic z dużymi domami, a po drodze do śródmieścia wszędzie spotykało się przechodniów, którzy albo się zatrzymywali, żeby sobie pogawędzić, albo pędzili dalej, mówiąc, że na pogawędkę nie mają czasu; nie dziś, nie teraz, gdy na głowie sto tysięcy pilnych spraw.

Były tam też sklepy z kolorowymi wystawami i owocowowarzywne stragany z piętrzącą się na wielkich tacach kapustą, marchewką, kalafiorami i kukurydzą. Gdzie indziej znów całe stosy grzybów i porów, rzepy i brukselki, sałaty i fasoli szparagowej albo cukinii i pasternaku.

Bruno nieraz tam przystawał i z zamkniętymi oczami wdychał upajająco słodką i świeżą mieszaninę woni, od której kręciło mu się w głowie.

A wokół nowego domu ulic nie było wcale, nikt tu się nie przechadzał ani nie gnał w pośpiechu i nie było choćby jednego sklepu czy straganu owocowowarzywnego. Gdy chłopiec zamknął oczy, dokoła zrobiło się tak pusto i zimno, jakby się nagle znalazł w najsamotniejszym zakątku świata. W szczerym polu.

W Berlinie wystawiano stoły na ulicę, więc nieraz, po drodze ze szkoły wraz z Karlem, Danielem i Martinem, Bruno widywał siedzących tam panów z paniami, którzy pili pieniste napoje i głośno się śmiali; na pewno są bardzo zabawni myślał sobie wtedy, bo o czymkolwiek by się mówiło, ktoś zawsze wybuchał śmiechem.

A ten nowy dom miał w sobie coś takiego, iż Bruno zaraz stwierdził, że tu się nikt nie śmieje; że tutaj nie ma powodu do śmiechu ani w ogóle do radości.

- Ja myślę, że to bez sensu - oznajmił Bruno kilka godzin po przyjeździe, gdy Maria rozpakowywała na piętrze jego bagaże. (I Maria też nie była tu jedyną pokojówką; były jeszcze trzy, dosyć chude i porozumiewające się między sobą tylko szeptem. Poza tym był też staruszek, który, jak powiedziano chłopcu, miał co dzień przygotowywać jarzyny oraz usługiwać im przy stole i który sprawiał wrażenie bardzo nieszczęśliwego, ale i troszeczkę rozniewanego).

- Myślenie, nas nie stać na taki luksus - stwierdziła matka, otwierając pudło z kompletem sześćdziesięciu czterech kieliszków, które jej podarowali dziadek z babcią w prezencie ślubnym. Wszelkie decyzje podejmują za nas pewne osoby.

Nie wiedząc, o co jej chodzi, Bruno w ogóle nie zareagował.

- Myślę, że to bez sensu - powtórzył. - Według mnie, najlepiej dać sobie z tym spokój i zaraz wracać do domu. Możemy to zapisać na konto doświadczeń - dodał niedawno poznane wyrażenie, którym się starał posługiwać przy każdej sposobności, Matka uśmiechnęła się i ostrożnie odstawiła kieliszki na stół.

- Nauczę cię nowego zwrotu - rzekła. - To znaczy: fatalną sytuację musimy spożytkować jak najlepiej.

- Oj, chyba nie pożytkujemy - odparł chłopiec. - Moim zdaniem powinnaś zwyczajnie powiedzieć ojcu, że ci się odmieniło i że możemy zostać tu do wieczoru, zjeść kolację i się przespać, bo jesteśmy wszyscy zmęczeni, ale że warto by wstać wcześniej rano, o ile się chce dotrzeć do Berlina w porze podwieczorku.

- A może byś poszedł na górę i pomógł Marii w rozpakowywaniu, co, Bruno? - z westchnieniem spytała matka.

- Przecież nie ma sensu się rozpakowywać, skoro zaraz...

- Proszę już bez dyskusji - ucięła, bo najwidoczniej jej wolno było mu przerywać, ale na odwrót zasada ta już nie działała. - Przyjechaliśmy tu i w najbliższej przyszłości będziemy tutaj mieszkać, tak więc powinniśmy to wykorzystać jak najlepiej. Rozumiesz?

Nie rozumiał, co znaczy ta "najbliższa przyszłość" i tak też jej powiedział.

- To znaczy, Bruno, że teraz tu mieszkamy - wyjaśniła. - Koniec, kropka.

Bruno poczuł ból żołądka i coś w nim zaczęło puchnąć, coś, co po wydostaniu się z najskrytszych jego głębin na światło dzienne może doprowadzić albo do dzikich wrzasków, że cała ta przeprowadzka jest potężnym nieporozumieniem, pomyłką, za którą ktoś zapłaci albo też po prostu do wybuchu płaczu.

Nie umiał się z tym wszystkim pogodzić.

Żadną miarą.

Dopiero co bawił się wesoło w domu, miał trzech najwierniejszych przyjaciół, zjeżdżał po poręczy i stawał na palcach, żeby oglądać Berlin a teraz nagle ten dom, zimny i paskudny, z trzema szepczącymi pokojówkami i smutnym oraz zagniewanym służącym, gdzie nic nie wskazuje, by kiedyś jeszcze mogli zaznać szczęścia.

W tej chwili marsz na górę, Bruno, i bierz się do roboty - powiedziała matka tak nieprzyjemnym tonem, że już bez namysłu odwrócił się i oddalił bez jednego słowa. Łzy napłynęły mu do oczu, ale postanowił, że nikt, absolutnie nikt ich nie zauważy.

Wyszedł na górę i wolno rozejrzał się dokoła w nadziei, że znajdzie jakieś drzwiczki albo skrytkę, które by się dało zbadać lecz niestety, nic z tego. Na piętrze było tylko czworo drzwi, dwoje po obu stronach, naprzeciwko siebie. Drzwi do jego pokoju, drzwi do pokoju Gretel, drzwi do pokoju rodziców i drzwi do łazienki.

Przecież to w ogóle nie jest żaden dom - mruknął pod nosem, przekraczając próg swego pokoju, gdzie na łóżku wały się ubrania, a na podłodze stały nie rozpakowane jeszcze pudła z zabawkami i książkami. Najwyraźniej Maria nie wzięła się do roboty jak należy.

- Mama przysłała mnie, żebym pomógł - powiedział cicho, a Maria, skinąwszy głową, wskazała wielką torbę ze wszystkimi jego skarpetkami i bielizną.

- Jak już to posortujesz, powkładaj, proszę, do komody, o, tam - pouczyła Maria, wskazując paskudny mebel z drugiej strony pokoju, obok zakurzonego lustra.

Z westchnieniem Bruno otworzył wypełnioną gałkami torbę nie pragnąc niczego więcej, jak tylko wśliznąć się do jej wnętrza, z nadzieją, że kiedy wyjdzie, przeprowadzka okaże się snem, i znowu będzie w domu.

- Co myślisz o tym wszystkim, Mario? - spytał po długim milczeniu, bo bardzo lubił Marię i uważał ją za członka rodziny, choć według ojca była tylko pokojówką i do tego jeszcze płacili jej stanowczo za dużo.

- O czym? - zapytała Maria.

- No, o tym - odparł, jak gdyby rzecz była jasna jak słońce. - O przyjeździe do czegoś takiego. Nie sądzisz, że to jedna wielka pomyłka?

- Nie mnie to rozsądzać - odpowiedziała Maria. - Mama już ci wyjaśniła kwestię pracy ojca, tak że...

- Już mi się nie chce o tym słuchać w kółko - przerwał jej Bruno. - Wiecznie praca ojca, stale, w nieskończoność.

- Wiesz, skoro przez tę całą pracę trzeba się wynieść z domu, gdzie jest poręcz do zjeżdżania i trzech najlepszych przyjaciół na świecie, to według mnie ojciec powinien się raz a dobrze nad tą swoją pracą zastanowić, prawda?

W tej samej chwili z korytarza dobiegło skrzypnięcie i uniósłszy głowę Bruno stwierdził, że uchyliły się drzwi do pokoju rodziców. Na moment zamarł w bezruchu.

Matka wciąż krzątała się na dole, tak więc z całą pewnością tu, za drzwiami był ojciec i słyszał pewnie wszystko, co przed sekundą powiedział Bruno. Wpatrzony w drzwi chłopiec wstrzymał oddech, rozmyślając, czy ojciec zaraz nie wyjdzie, żeby go wziąć na dół i tam porządnie skarcić.

Gdy drzwi otwarły się szerzej, Bruno się cofnął na widok jakiejś postaci, lecz wcale nie ojca. Był to człowiek znacznie młodszy i nie aż tak wysoki jak on, ale za to ubrany w identyczny mundur, tylko że z mniejszą liczbą odznaczeń. Wyglądał bardzo poważnie, a do tego jeszcze miał ciasno nasuniętą czapkę.

Spojrzawszy na jego skronie, Bruno stwierdził, że ma bardzo jasne, aż nienaturalnie żółte włosy. Zmierzał w stronę schodów z jakimś pudłem w rękach, ale na widok Brunona zatrzymał się na moment. Przyglądał mu się z taką uwagą, jakby nigdy w życiu nie widział dziecka i wobec tego nie do końca wiedział, co powinien z nim zrobić: zjeść, zignorować czy zrzucić ze schodów.

Skinął więc tylko głową i ruszył w swoją stronę.

- Kto to? - zapytał Bruno.

Młodzieniec sprawiał wrażenie tak surowego i zajętego, że z pewnością musiał być kimś niesłychanie ważnym.

- Pewnie któryś z żołnierzy twego ojca - odparła Maria, która na widok mężczyzny wyprostowała się jak świeca, składając ręce niby w modlitwie. I wcale nie patrzyła mu w twarz, tylko wbiła wzrok w ziemię, jak gdyby w strachu, że jeśli na niego spojrzy, to zaraz skamienieje. Rozluźniła się, dopiero kiedy odszedł.

- Wkrótce poznamy wszystkich - dodała.

- Niezbyt mi się on podoba - rzekł Bruno. - Jakiś za poważny.

- Ojciec też jest poważny - powiedziała Maria.

- No tak, ale to mój ojciec - wytłumaczył Bruno. - A ojciec przecież ma być poważny.

Bez względu na to, czy jest kupcem warzywnym, nauczycielem, szefem kuchni czy dowódcą - ciągnął, wymieniając wszystkie zajęcia, którymi jego zdaniem trudnili się porządni, godni szacunku ojcowie i które przepowiadał sobie w myśli chyba z tysiąc razy. - Poza tym, on mi na ojca nie wygląda. Choć, ma się rozumieć, jest tak bardzo poważny.

- To jednak ważny zawód - rzekła z westchnieniem Maria. - A przynajmniej im tak się wydaje. - Ja jednak na twoim miejscu trzymałabym się z dala od żołnierzy.

- Jasne, że mam właśnie taki zamiar - odrzekł smutno chłopiec. - I pewno do zabawy nie będzie tu nikogo poza Gretel, a co z niej w ogóle za pożytek? Jest Beznadziejnym Przypadkiem.

Po raz kolejny zebrało mu się na płacz, ale się powstrzymał, żeby nie wyjść przed Marią na małe dziecko. Wciąż niby wpatrzony w podłogę, rozglądał się dokoła, w nadziei, że wreszcie znajdzie coś ciekawego. Ale nic nie znalazł.

W pierwszej chwili.

Bo potem coś jednak zwróciło jego uwagę.

Otóż w rogu pokoju, naprzeciwko drzwi, zobaczył skośne okno, troszkę podobne do okna na poddaszu domu w Berlinie, tyle że nie tak wysokie. Wydawało mu się, że mógłby przez nie wyglądać, wcale przy tym nie stając na palcach.

Wolno podszedł do okna, licząc, że sięgnie wzrokiem aż po sam Berlin; że zobaczy swój dom i ulice wokół, i stoły, przy których siedzą ludzie i racząc się pienistym napojem, opowiadają sobie rozmaite śmieszne historyjki. Zbliżał się tam powoli, w lęku, by się nie rozczarować. Ale że był to przecież niewielki pokój przeznaczony dla chłopca, wędrownika do okna nie zajęła mu zbyt wiele czasu. Przywarłszy buzią do szyby, zaraz się zorientował, co jest za oknem, tylko że teraz z szeroko otwartymi oczami i ustami w kształcie literki "O" wcale nie rozłożył ramion, bo mu się objawiło coś wyjątkowo zimnego i groźnego.

## Beznadziejny Przypadek

Bruno uważał, że o wiele rozsądniej było by zostawić Gretel w Berlinie, aby pilnowała domu, bo z nią to wiecznie tylko kłopoty. Prawdę powiedziawszy, sam nieraz słyszał, że jest ona Utrapieniem Od Samego Początku.

Gretel była trzy lata starsza od Brunona i odkąd sobie przypominał stale dawała mu do zrozumienia, że gdy chodzi o sprawy życiowe, a zwłaszcza wszelkie sprawy dotyczące ich obojga, to zawsze rządzić będzie ona. Nie chętnie przyznawał, że się jej trochę boi, chciał jednak być w zgodzie z sobą o co się zawsze starał musiałby wyjawiać, iż jest to najprawdziwsza prawda.

Gretel jak to siostry miała różne paskudne nawyki. Jak choćby ten, że rano stanowczo za długo przesiadywała w łazience i nic ją nie obchodziło, że on nie mogąc już wytrzymać za drzwiami przestępuje z nogi na nogę.

Miała też wielką kolekcję lalek poustawianych na półkach i nie spuszczać z niego wzroku, gdy przestępował próg jej pokoju. Bruno był pewny, że gdyby tak kiedyś się tam zakradł pod jej nieobecność, lalki by jej potem ze szczegółami powiedziały, co takiego wyczynia. Prócz tego Gretel miała bardzo niemiłe koleżanki, które uważały najwidoczniej, że wyśmiewanie się z niego jest niesamowicie zabawne, a przecież on, gdyby był trzy lata starszy, w życiu by czegoś takiego nie robił. Kiedy w pobliżu nie było ani mamy, ani Marii, te wszystkie niemiłe koleżanki Gretel wprost uwielbiały się nad nim znęcać i mówić mu najrozmaitsze okropności.

Bruno wcale nie ma dziewięciu lat, tylko sześć śpiewnym głosem powtarzał w nieskończoność jeden, wyjątkowy, potwór, skacząc wokół niego i szturchając w żebra.

- Nie sześć, a właśnie dziewięć - protestował, próbując się wymknąć.

- Tak? To czemu jesteś taki mały? - pytał wtedy potwór. - Normalne dziewięciolatki są od ciebie większe.

To akurat była prawda i nad wyraz przykra dla Brunona. Czuł się rozżalony, bo nie dorównuje wzrostem swym kolegom z klasy, tylko sięga im zaledwie do ramion.

Kiedy szedł ulicą wraz z Karlem, Danielem i Martinem, ludzie nieraz go brali za młodszego brata któregoś z chłopców, gdy on przecież pod względem wieku był drugi w kolejności.

- Na pewno masz dopiero sześć lat - obstawał przy swoim potwór, na co Bruno wybiegał z pokoju, by się znowu ponaciągać, w nadziei, iż pewnego ranka obudzi się wyższy o trzydzieści, a może nawet i pięćdziesiąt centymetrów.

Wyjazd z Berlina miał i swoją miłą stronę: koleżanki Gretel wreszcie przestaną go dręczyć. Może gdyby mu przyszło zostać w nowym domu dłuższy czas, choćby nawet cały miesiąc zdążyłby urosnąć do powrotu, a wtedy to już by się go nie czepiały. Tak czy owak, warto było o tym pamiętać, skoro się chciało usłuchać mamy i tę okropną sytuację pożytkować jak najlepiej.

Bez pukania wbiegł do pokoju Gretel, która rozmieszczała na półkach swe niezliczone lalki.

- A cóż to ma znaczyć? - krzyknęła, odwracając głowę. - Nie wiesz, że do damy nigdy nie wchodzi się bez pukania?

- Chyba nie wzięłaś tutaj wszystkich lalek? - spytał Bruno, który się już nauczył lekceważyć pytania siostry i zamiast odpowiedzi stawiać własne.

- A jakże - odparła. - Czemu bym je miała zostawiać w domu? Kto wie, za ile tygodni wrócimy do Berlina.

- Tygodni? - Bruno rzekł ze zdumieniem, ale tak naprawdę, w głębi duszy, uradowany, bo już się prawie oswoił z myślą, że trzeba tu będzie spędzić cały miesiąc. - Co ty powiesz?

- Jak zapytałam ojca, to mi powiedział, że zostaniemy tu na czas określony.

- Co właściwie znaczy ten "czas określony"? - spytał Bruno, siadając na skraju łóżka.

- Od dzisiaj parę tygodni - odparła przemądrzałym tonem Gretel. - Może nawet trzy.

- Aha, to dobrze - stwierdził Bruno. - Skoro na czas określony, a nie cały miesiąc. No bo tu jest koszmarnie.

Gretel zerknęła na braciszka i bodaj pierwszy raz w życiu musiała się z nim zgodzić.

- Oj, tak - przytaknęła. - Dosyć okropnie, prawda?

- Strasznie - potwierdził Bruno.

- Owszem - zgodziła się Gretel. - Teraz jest okropnie. Ale jak się doprowadzi dom do porządku, to chyba nie będzie najgorzej. Ojciec raz mówił, że każdy, kto tu, w PoŚwiecie, mieszkał przed nami, prędko tracił pracę, tak że już nie miał czasu nic zmieniać na lepsze.

- W PoŚwiecie? - zdziwił się Bruno. - Co za jakieś PoŚwiecie?

- Nie "jakieś", Bruno - odparła Gretel. - Zwyczajnie: PoŚwiecie.

- Aha, a co to znaczy? - nie zrozumiał.

- Tak się nazywa dom - wyjaśniła Gretel. - PoŚwiecie.

Bruno musiał się nad tym wszystkim zastanowić. Wcale nie zauważył nigdzie szyldu z taką nibynazwą domu, ani też choćby napisu nad drzwiami od frontu. Dom w Berlinie w ogóle nie miał nazwy, tylko numer cztery.

- Ale co to oznacza? - spytał ze złością.

- PoŚwiecie!

- Jakie PoŚwiecie?

- Chodzi, zdaje się, o tych wszystkich, co tu mieszkali przed nami - odpowiedziała Gretel. - Pewno jakiś lokator nie sprawował się jak należy, i ktoś wtedy stwierdził, że trzeba się go pozbyć, wysłać gdzieś w świat i znaleźć kogoś porządnego.

- Masz na myśli ojca?

- Jasne - odparła Gretel, dla której ojciec był człowiekiem, co zawsze postępuje słusznie, nigdy się nie gniewa i daje jej całusa na dobranoc.

Chcąc być uczciwym i naturalnie nie smucąc się z powodu przeprowadzki, Bruno przyznałby z pewnością, że z nim tak samo ojciec żegna się przed snem.

- Czyli jesteśmy w PoŚwieciu, bo ktoś wygnał ludzi, którzy tu mieszkali przed nami, tak?

- No właśnie - rzekła Gretel. - A teraz złaż mi z łóżka, bo tylko robisz bałagan!

Usłuchawszy jej, Bruno wyładował z hukiem na dywanie. Głuchy odgłos wydał mu się jednak tak przykry, że natychmiast podjął postanowienie, aby za często nie skakać po tym domu, który w każdej chwili może się zawalić.

- Okropnie tu - stwierdził po raz setny.

- Tak, wiem - odparła Gretel. - Ale przecież nic na to nie poradzimy.

- Tęsknię za Karlem, Danielem i Martinem - oświadczył Bruno.

- A ja za Hildą, Izabelą i Luizą - rzekła Gretel, na co Bruno próbował sobie przypomnieć, która też z nich może być tym potworem.

- Według mnie, inne dzieci w ogóle nie są sympatyczne - powiedział Bruno, a Gretel natychmiast odłożyła jedną ze swych upiornych lalek i spojrzała mu prosto w oczy.

- Co ty opowiadasz? - zapytała.

- Mówię, że moim zdaniem inne dzieci nie są ani trochę sympatyczne - powtórzył.

- Inne? - Gretel zatkało. - Jakie niby inne? Przecież tu nie ma żadnych dzieci.

Bruno się rozejrzał. W pokoju Gretel też było okno, ale że mieścił się on na drugim krańcu korytarza, naprzeciw jego pokoju widok miała stamtąd całkiem, całkiem inny.

Ostrożnie, aby nie budzić podejrzeń, chłopiec ruszył w stronę okna.

Z rękami w kieszeniach krótkich spodni zaczął coś sobie pogwizdywać wcale nie patrząc na siostrę, Cóż to ma znaczyć, Bruno? - spytała Gretel. - Zwariowałeś?

Nie zatrzymując się i jakby nigdy nic gwizdząc dalej, wpatrzony przed siebie, dotarł do okna, które na całe szczęście okazało się na tyle niskie, że mógł przez nie wyglądać bez



trudu. Zobaczył samochód, którym przyjechali, oraz trzy lub cztery inne auta żołnierzy ojca.

Z resztą paru wojskowych też tam stało. Palili papierosy i żartowali, zerkając nerwowo w kierunku domu. Nieco dalej był podjazd, a potem zagajnik, do którego chyba warto by się zapuścić.

- Byłbyś mi łaskaw wyjaśnić, co miało znaczyć to ostatnie zdanie? - zapytała Gretel.

- Tam jest lasek - rzekł Bruno wymijająco.

- Bruno! - warknęła, ruszając ku niemu tak gwałtownie, że aż odskoczył od okna i musiał się oprzeć o ścianę.

- Co? - znowu udał, że nie ma pojęcia, o co chodzi.

- Mówisz, że inne dzieci nie wyglądają zbyt przyjaźnie - odparła Gretel.

- Bo nie wyglądają - odpowiedział, gdyż sądząc po pozorach, takie mu się też wydały, choć matka bez przerwy upominała, by nigdy zbyt pochopnie nie oceniał ludzi.

- Ale jakie inne? - chciała wiedzieć Gretel. - Niby które?

Uśmiechnięty Bruno ruszył do drzwi, dając jej znak, by też tam podeszła.

Westchnąwszy ciężko, wpierw odłożyła lalkę na łóżko, po czym, najwidoczniej zmieniając zdanie, przytuliła ją do piersi i pomaszerowała do pokoju brata, gdzie pod drzwiami mało jej nie stratowała Maria, która wypadła stamtąd z czymś niezwykle podobnym do nieżywej myszy.

- Te tam - odrzekł Bruno, znów wyglądając przez swe okno.

Wcale się nie obrócił, by sprawdzić, czy Gretel jest w pokoju, bo tak był pochłonięty obserwacją dzieci, że na chwilę całkiem zapomniało jej obecności.

Gretel jednak stała w drzwiach, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie wyjrzy sama, chociaż jej odpowiedział takim tonem i patrzył w taki sposób, że nagle poczuła się nieswojo.

Brunonowi nigdy jeszcze nie udało się jej nabrać, a teraz była prawie pewna, że w końcu tego dokonał, tyle że przez tę jego osobliwą pozę niemal straciła ochotę, by zobaczyć dzieci. Z niepokojem przełykając ślinę, zapragnęła skrycie, aby faktycznie wracali do Berlina jak najprędzej, a nie jak stwierdził Bruno dopiero może za miesiąc.

- No i? - odwróciwszy się, ujrzał siostrę w progu, z lalką wciąż przy piersi, ze złotymi warkoczykami opadającymi na ramiona tak symetrycznie, że aż się chciało za nie szarpnąć.

- Nie chcesz popatrzeć?

- Jasne, że chcę - z wahaniem zbliżyła się do niego. - Więc się może odsun - dodała, odpychając go łokciem.

Pierwsze popołudnie w PoŚwieciu było jasne i pogodne, więc akurat gdy Gretel wyjrzała przez okno, słońce znów wyszło zza chmur, także musiała zmrużyć oczy, ale w pół

sekundy znowu się schowało i wreszcie zobaczyła, o czym mówi Bruno.

## Co zobaczyli za oknem

Przede wszystkim nie były to wcale dzieci. A w każdym razie wszyscy byli dziećmi. Młodszy i starsi chłopcy, ojcowie, dziadkowie i może też paru wujków. Poza tym też trochę takich, co zwykle mieszkają samotnie i choć się ich zna z widzenia, to tak naprawdę chyba nie mają żadnych krewnych.

- Co to za jedni? - Gretel otworzyła buzię, identycznie jak jej brat ostatnimi czasy. - Gdzie myśmy przyjechali?

- Trudno powiedzieć - odrzekł Bruno zgodnie z prawdą. - Ale na pewno nie jest tu tak fajnie jak u nas.

- A gdzie dziewczynki? - spytała. Mamy? No i babcie?

- Pewno mieszkają gdzie indziej - pomyślał na głos Bruno.

Gretel uznała, że to możliwe. Wcale się nie chciała gapić, ale trudno było oderwać się od okna. Ze swego pokoju zdołała zobaczyć tylko zagajnik naprzeciwko; trochę w prawdzie ciemny, ale gdyby się gdzieś dalej znalazło polanę, to byłby dobry na pikniki. Widok z tej strony domu przedstawiał się zupełnie inaczej i z pozoru nawet dosyć miło. Tuż pod oknem Brunona był ogród. Całkiem spory i pełen kwiatów wyrastających w równiutkich odstępach z ziemi, którym się chyba musiała zajmować osoba, co to wie, że hodowla kwiatów w takim miejscu jest jak zawieszenie lampionu gdzieś w rogu wielkiego zamku na mglistym wrzosowisku w ciemną zimową noc.

Za rabatami był sympatyczny chodnik z drewnianą ławką, gdzie pomyślała Gretel można by sobie siedzieć i czytać w słońcu. Do ławki przymocowano jakąś tabliczkę, ale z tej odległości nie dało się odczytać napisu. Siedziało się twarzą w stronę domu co normalnie wyglądałoby trochę niezwykle, no ale tutaj zdecydowanie miało sens.

Dalej, jakieś pięć, sześć metrów od ogrodu, kwiatów i ławki z tabliczką, wszystko się zmieniało. Było tam olbrzymie druciane ogrodzenie, biegnące wzdłuż domu i na samej górze wygięte do środka. Ogrodzenie ciągnęło się potem jeszcze w obie strony o wiele dalej niż Gretel mogłaby wzrokiem sięgnąć.

Było bardzo wysokie, znacznie wyższe od domu, a co kawałek podtrzymywały je potężne, podobne do telegraficznych, drewniane słupy. Ogrodzenie wieńczyły ogromne, splątane zwoje drutu kolczastego aż Gretel nagle coś zakłuło w sercu, gdy zobaczyła sterczące tam wszędzie ostre kolce.

Za ogrodzeniem nie rosła trawa i w ogóle nigdzie dokoła nie było choćby skrawka zieleni. A zamiast zwyczajnej ziemi tylko coś jakby pył, i co kawałek, jak okiem sięgnąć,

niskie domki i duże kwadratowe budynki ze dwa, całkiem już daleko, z kominami.

Gretel otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale stwierdziwszy, że żadne słowo nie odda jej zdumienia, zrobiła jedyną w tej sytuacji rozsądną rzecz zamknęła je.

- Widzisz? - Z drugiego końca pokoju odezwał się Bruno, zadowolony z siebie w głębi duszy, bo cokolwiek tam się działo i bez względu na to, kim są tamci ludzie, on wszystko zobaczył pierwszy i będzie mógł sobie oglądać, kiedy tylko zechce, bo to było za jego oknem, a nie Gretel, stanowiło więc jego własność, i to on stał się teraz władcą, a ona pokorną poddaną.

- Nie rozumiem - powiedziała Gretel jak można zbudować coś tak paskudnego.

- Rzeczywiście: paskudztwo - zgodził się Bruno. - Te domki, zdaje się, są tylko parterowe. Zobacz, jakie niskie.

- Są pewnie nowoczesne - rzekła Gretel. - Ojciec nie znosi nowoczesności.

- Więc mu się raczej nie spodobają - stwierdził Bruno.

- No nie - odparła Gretel. Wciąż przyglądała się domkom. Miała dwanaście lat i uważano ją za jedną z najinteligentniejszych dziewcząt w klasie, toteż ściągnęła usta i zmrużyła oczy, starając się zrozumieć, na co właściwie patrzy. Wreszcie przyszło jej do głowy jedyne wytłumaczenie.

- To na pewno wieś - powiedziała, odwracając się, by spojrzeć na brata z triumfem.

- Wieś?

- A niby co innego?

- Przecież w domu, w Berlinie, jesteśmy w mieście. Dlatego tyle tam ludzi i domów, no i taki tłok w szkołach, a w sobotę po południu nie da się spokojnie przejść śródmieściem, żeby cię co chwila ktoś nie potrącił.

- Tak. - Bruno przytaknął, starając się nadążyć za tokiem jej myśli.

- Ale na geografii uczyliśmy się, że na wsi, gdzie żyją rolnicy, którzy mają różne zwierzęta i uprawiają ziemię, są właśnie takie wielkie obszary, gdzie się mieszka i pracuje, a później tę całą żywność wysyła do miast, żebyśmy mieli co jeść znowu spojrzęła na wielką przestrzeń za oknem i na odstępy między domkami. Na pewno więc jesteśmy na wsi. A to, kto wie, może i nasz letni dom - dodała z nadzieją.

Bruno chwilę się zastanowił i pokręcił głową.

- Ja tak nie myślę - rzekł z wielkim przekonaniem.

- Masz dopiero dziewięć lat - odparowała Gretel. - Więc niby skąd miałbyś wiedzieć? Jak będziesz miał tyle, co ja, łatwiej ci przyjdzie zrozumieć pewne sprawy.

- Możliwe - odparł Bruno, który wiedział, że jest młodszy, ale nie zgadzał się, że

akurat z tego powodu koniecznie musi się mylić.

- No, ale skoro to ma być wieś, to gdzie się podziały te różne zwierzaki?

Gretel otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale nie znajdując nic sensownego, znów wyjrzała przez okno, w nadziei, że gdzieś je wypatrzy. Niestety zwierząt nie było wcale.

- Powinny być konie i krowy, i świnie, i owce - rzekł Bruno. - Znaczący: gdyby to było gospodarstwo. Nie mówiąc już o kurach i kaczkach.

- Faktycznie - przyznała cicho Gretel.

- I gdyby tu coś uprawiali, tak jak mówisz - ciągnął, ogromnie z siebie zadowolony to chyba ziemia by wyglądała o wiele lepiej, prawda? A według mnie w tym piachu nic się nie da wyhodować.

Gretel znów ogarnęła wzrokiem pejzaż za oknem i przytaknęła bratu, uznawszy, że wobec tak oczywistego argumentu nie ma sensu się wygłupiać i dalej obstawać przy swoim.

- Więc może to nie gospodarstwo - powiedziała.

- Jasne że nie - zgodził się Bruno.

- I może, wobec tego, wcale nie jesteśmy na wsi.

- Pewnie.

- A skoro tak, to, to w ogóle nie jest żaden letni dom - podsumowała Gretel.

- Oj, chyba nie - rzekł Bruno.

Przysiadł na łóżku w nadziei, że Gretel chociaż na sekundę siądzie obok, obejmie go i powie, że wszystko jakoś się ułoży i wkrótce pewno tak im się tu spodoba, że wcale nie będą mieli ochoty wracać do Berlina.

Ona jednak wciąż wyglądała przez okno, tylko że teraz już nie na kwiaty, chodnik, na ławkę z tabliczką, wysokie ogrodzenie, drewniane słupy telegraficzne, zwoje kolczastego drutu, ubitą ziemię, domki, niewielkie budynki czy kominy tylko na ludzi.

- Kim są ci wszyscy ludzie? - zapytała cicho, jak gdyby nie spodziewając się odpowiedzi od Brunona, lecz od kogoś innego. - I co tu w ogóle robią?

Bruno podniósł się z łóżka i po raz pierwszy stanęli przy oknie razem, ramię w ramię, patrząc, co też się dzieje ledwie kilka metrów od ich nowego domu.

Jak okiem sięgnąć, wszędzie było mnóstwo ludzi, wysokich, niskich, starych, młodych. Część stała w grupkach, w całkowitej ciszy, z rękami wzdłuż boków, pilnując, by podnosić głowę, gdy tylko zbliżył się do nich żołnierz krokiem marszowym, ruszając ustami tak prędko, jakby coś wykrzykiwał. Inni jak związani wspólnym łańcuchem aresztanci wozili coś na taczkach z jednego krańca na drugi, wyłaniając się niewiedomo skąd, by po chwili zniknąć za jakimś budynkiem. Kilka milczących grup stało przy domkach wpatrując się w

ziemię, tak jakby się bawili w jakąś grę, w której nie można zostać zauważonym. Niektórzy byli o kulach, a wielu miało obandażowaną głowę. Innych znów, z łopatami, prowadzili gdzieś żołnierze, no i potem nie było ich widać już w ogóle.

Bruno i Gretel zobaczyli setki ludzi, ale że między nimi stała masa domków, których się w żaden sposób nie dało ogarnąć wzrokiem to wszystko wyglądało tak, jakby ich tam były tysiące.

- I wszyscy mieszkają tak blisko nas - stwierdziła, krzywiąc się, Gretel. - W Berlinie, na naszej spokojnej ulicy, w sąsiedztwie miało się zaledwie sześć domów, a tutaj aż tyle.

- Ciekawe, czemu ojciec przyjął pracę w tak paskudnym miejscu i na dodatek z tyloma sąsiadami? Przecież to kompletnie bez sensu.

- Spójrz tam - powiedział Bruno.

Spojrzawszy we wskazanym kierunku, Gretel zobaczyła, jak z któregoś domku w oddali wychodzi stłoczona gromadka dzieci. Wrzeszczała na nie grupa żołnierzy a im głośniej wrzeszczeli, tym mocniej dzieci do siebie nawzajem przywierały, ale gdy przyskoczył do nich jeden żołnierz, zaraz się rozdzieliły i chyba zrobiły to, czego od nich wymagano od samego początku, to znaczy: ustawiły się w szeregu. Na ten widok wszyscy żołnierze zaczęli się śmiać i bić brawo.

- To pewnie jakaś próba - stwierdziła Gretel, nie zważając na to, że niektóre dzieci nawet te starsze i nawet tak już dorosłe jak ona najwidoczniej płakały.

- Mówiłem ci, że są tu dzieci - powiedział Bruno.

- Ale nie takie, z jakimi bym się chciała bawić - odrzekła Gretel stanowczo. - Wyglądają obrzydliwie. Hilda, Izabela i Luiza kąpią się co rano, tak jak ja. A te wyglądają, jakby się nie kąpały nigdy w życiu.

- Bo tu w ogóle jest jakoś brudno - stwierdził Bruno. - A może nie mają łazienki?

- Nie bądź głupi! - odparła Gretel, choć stale jej powtarzano, że brata nie wolno nazywać głupcem. Jacy to niby ludzie nie mają łazienki?

- Nie wiem - odpowiedział Bruno. - Tacy, co nie mają ciepłej wody.

Gretel popatrzyła jeszcze trochę i z drżeniem odsunęła się od okna.

- Wracam do pokoju układać lalki - oznajmiła. - Widok stamtąd jest o wiele przyjemniejszy.

I poszła korytarzem do siebie, zamykając drzwi. Nie od razu jednak zajęła się układaniem lalek, tylko usiadła na łóżku, pogrążona w myślach.

Tymczasem Bruno, obserwując z daleka setki ludzi pochłoniętych różnymi pracami, spostrzegł coś jeszcze. Otóż wszyscy mali i duzi chłopcy, ojcowie, dziadkowie, wujkowie i

tacy, co zwykle mieszkają samotnie i choć się ich zna z widzenia, to tak naprawdę chyba nie mają żadnych krewnych byli ubrani identycznie, w szare pizamy w paski, a na głowach mieli szare pasiaste czapki.

- Przedziwne - szepnął, odwracając się od okna.

## Niedostępny Zawsze Bez Wyjątku

Wobec tych zagadek trzeba było jak najszybciej pomówić z ojcem.

Ojciec nie wyjechał z Berlina samochodem, jak wszyscy, tego ranka, tylko trochę wcześniej, wieczorem tego dnia, kiedy Bruno, wróciwszy do domu, zastał u siebie Marię, która grzebała w jego rzeczach, wyciągając nawet pochowane skarby, jakich nie miał prawa ruszać nikt oprócz niego. W ciągu kolejnych paru dni matka, Gretel, Maria, kucharka, Lars i Bruno pakowali rzeczy do skrzyń, ładując je na dużą ciężarówkę, którą miały zostać zawiezione do nowego domu w PoŚwieciu.

Wreszcie ostatniego ranka, gdy opustoszały dom ani trochę już nie przypominał prawdziwego domu, a najostatniejsze rzeczy osobiste spakowali do walizek, pod drzwi aby ich zabrać zajechał służbowy samochód z czerwoczarnymi chorągiewkami na przedzie.

Matka, Maria i Bruno wyjeżdżali na samym końcu i chłopiec zauważył, iż matka nie zorientowała się, że pokojówka jest tuż obok, bo gdy ostatni raz spoglądali na pusty hol, gdzie ich spotkało tyle miłych rzeczy, gdzie w grudniu zawsze stała choinka, gdzie w zimowe miesiące zostawiano na stojaku mokre parasole i gdzie on miał zdejmować ubłocone buty, a nigdy tego nie robił pokręciła głową i powiedziała coś bardzo dziwnego: Trzeba było nigdy nie zapraszać Furii na kolację. Nie dopuścić, by pewne osoby jednak dopięły swego.

Z tymi słowy obejrzała się, a wtedy Bruno spostrzegł, że ma załzawione oczy i aż podskoczyła, widząc, że Maria ją obserwuje.

- Mario - zwróciła się do niej, zaskoczona myślałam, że już siedzisz w aucie.

- Właśnie się zbierałam, pszepani - odparła pokojówka.

- Nie chciałam... - Nie dokończyła matka i potrząsając głową, zaczęła od nowa. - Nie chodzi mi o to, żeby...

- Zbierałam się, pszepani - powtórzyła Maria, która chyba nie знаła zasady, że matce przerywać nie wolno, po czym prędko wyszła i pobięła do samochodu.

Matka nachmurzyła się, zaraz jednak wzruszyła ramionami, tak jakby to wszystko było już całkiem nieistotne.

- Chodźmy, Bruno - powiedziała, biorąc go za rękę i zamykając drzwi na klucz. - Miejmy nadzieję, że kiedyś, gdy się to skończy, jeszcze tu wrócimy.

Służbowy samochód z chorągiewkami na przedzie powiózł ich na dworzec kolejowy, gdzie dwa tory rozdzielał obszerny peron, a po obu stronach stały czekające na pasażerów pociągi. Jako że z drugiej strony przemieszczała się masa żołnierzy, a podłużna budka nastawniczego pomiędzy torami zasłaniała widok Bruno ledwo zdążył zerknąć na tłum i zaraz



z resztą rodziny zajął miejsca w bardzo wygodnym pociągu, w którym było prawie pusto i wiele wolnych miejsc, i świeże powietrze, bo pootwierano okna. Gdyby te pociągi jechały w różnych kierunkach, pomyślał, to by się nie wydawało takie dziwne, oba jednak kierowały się na wschód. Chwilkę się zastanawiał, czyby nie wybiec na peron i powiedzieć tym ludziom o wolnych miejscach w wagonie, ale zrezygnował, tknięty przecuciem, iż jeśli to nie rozgniewa mamy, to z pewnością wprawi w gniew Gretel, co byłoby znacznie gorsze.

Od przyjazdu do PoŚwiecia, do nowego domu, Bruno jeszcze nie widział się z ojcem.

Na samym początku, kiedy skrzypnęły drzwi, uznał, że może jest on w swym pokoju, ale się okazało, że to niesympatyczny młody żołnierz, który mu się przypatrywał wyjątkowo chłodnym wzrokiem. Chłopiec jeszcze ani razu nie usłyszał gromkiego głosu ojca i z dołu nigdy nie dobiegł go znany tupot masywnych butów. Tymczasem bez przerwy wchodzili i wychodzili jacyś ludzie, aż wreszcie pogrążony w myślach Bruno usłyszał na dole potworny hałas, więc wyszedł na korytarz, by zerknąć zza balustrady.

Przed otwartymi na oścież drzwiami gabinetu ojca zebrało się pięciu mężczyzn, którzy ze śmiechem podawali sobie ręce. Ojciec stał w środku i w świeżo uprasowanym mundurze prezentował się bardzo elegancko. Gęste ciemne włosy miał świeżo zaczesane i spryskane lakierem, tak że spoglądając na niego z góry, Bruno poczuł zarazem strach i podziw. Ci inni nie podobali mu się aż tak bardzo. Niewątpliwie żaden nie był tak przystojny jak ojciec. Nie mieli też tak starannie uprasowanych mundurów. I żaden nie miał tak gromkiego głosu ani tak błyszczących butów. Z czapkami pod pachą wszyscy najwidoczniej toczyli między sobą walkę o względy ojca. Bruno zdołał usłyszeć zaledwie strzępy tego, o czym rozmawiali.

-...popępiał błędy, odkąd się tu zjawił. Wreszcie Furia, nie mając wyboru, został zmuszony - powiedział jeden.

-...dyscyplina! - oświadczył inny.

- I sprawność. Od czterdziestego drugiego brak nam dyscypliny, a przecież bez niej.

-...oczywiste, jak wskazują liczby. Oczywiście, komendancie - stwierdził trzeci.

-...wyobraźcie sobie, czego byśmy dokonali - odezwał się ostatni, - budując kolejny.

No, pomyślcie tylko.

Ojciec uniósł rękę, na co wszyscy umilkli w jednej chwili jak gdyby dyrygował kwartetem wokalnym.

- Panowie - zwrócił się do nich, lecz tym razem Bruno słyszał wyraźnie każde słowo, bo na całym świecie nie istniał człowiek obdarzony donośniejszym głosem niż ojciec. - Ogromnie cenię sobie wasze sugestie, jak i poparcie z waszej strony. Przeszłość jednak należy już do przeszłości. Obecnie zaczynamy wszystko od nowa, ale niech ten początek przypadnie

na dzień jutrzejszy. W tej chwili powinienem pomóc rodzinie przywyknąć do nowego miejsca, bo w przeciwnym razie napytam sobie biedy, tak jak tamci. Zrozumiano?

Zgromadzeni wybuchnęli na to śmiechem i kolejno uścisnęli rękę ojca. Przed wyjściem ustawili się w rzędzie, jak ołowiane żołnierzyki, i każdy zasalutował w taki sposób, jak ojciec uczył Brunona: ściągnąwszy palce dłoni, z ramieniem uniesionym ku górze w prędkim, szorstkim geście, wyrzucając dwa słowa, które Bruno miał powtarzać zawsze, gdy je tylko słyszy. Kiedy się oddalili, ojciec wrócił do gabinetu, który był Niedostępny Zawsze Bez Wyjątku.

Chłopiec pomału zszedł po schodach, na moment zatrzymał się pod drzwiami.

Zrobiło mu się przykro, że ojciec nie wyszedł, aby się z nim przywitać, choć był tam pewno już od ponad godziny no ale też nie raz mu tłumaczono, jak bardzo ojciec jest zajęty i wobec tego nie należy mu zwracać głowy drobiazgami, czyli na przykład stale się z nim witać.

Żołnierze jednak już się wynieśli, więc Bruno stwierdził, że może zapukać do drzwi gabinetu.

W Berlinie Bruno miał okazję być w gabinecie ojca tylko kilka razy, a to zazwyczaj wtedy, gdy coś przeszkrobał i należało go solidnie skarcić. Niemniej, reguła dotycząca gabinetu należała do najważniejszych, jakie dotąd poznał chłopiec, który był na tyle rozgarnięty, by uznać, iż ma ona zastosowanie także i tu, w PoŚwieciu. Ponieważ jednak nie widzieli się już dosyć długo, Bruno pomyślał sobie, że nikt nie weźmie mu za złe, jeżeli teraz tam zapuka.

Zastukał więc. Dwa razy, lecz cicho i ostrożnie. Może ojciec nie dosłyszał, a może też Bruno nie pukał dostatecznie głośno, w każdym razie nikt nie podszedł do drzwi, także zastukał ponownie i troszkę głośniej. Dopiero wtedy za drzwiami rozległ się gromki okrzyk:

- Wejść!

Nacisnąwszy klamkę, Bruno wszedł do środka i natychmiast przybrał swą zwykłą pozę, czyli: szeroko otworzył oczy, usta rozwarły mu się w kształt literki "O", i rozłożył ręce.

Cały dom sprawiał wrażenie ciemnego, ponurego i niezbyt zachęcał do wypraw badawczych ale ten pokój był całkiem inny. Przede wszystkim miał bardzo wysoki strop, a podłogę zaścilał taki dywan, że Bruno pomyślał, iż mógłby w nim utonąć. Ściany były prawie niewidoczne; od góry do dołu zasłonięte mahoniowymi półkami pełnymi książek, trochę tak jak w berlińskim domu. W ścianie naprzeciwko Bruno ujrzał wychodzące na ogród wielkich rozmiarów okna, przed które spokojnie można by było wystawiać krzesła do siedzenia.

Pośrodku, za potężnym dębowym biurkiem, urzędował ojciec we własnej osobie. Na widok syna oderwał się od całej masy jakichś dokumentów.

- Bruno - rzekł, powstając zza biurka, i mocno uściśnął jego rękę, jako że zwykle nikogo nie tulił, w przeciwieństwie do mamy i babci, które nie dość, że zawsze przytulały, to jeszcze na dodatek lubiły każdego porządnie obcałować.

- Mój synek - dodał po chwili.

- Cześć, tato - wyszeptał Bruno, trochę przytłoczony wspaniałością gabinetu.

- Jużżuż się do ciebie wybierałem, Bruno - powiedział ojciec. - Musiałem tylko zakończyć pewne spotkanie i jeszcze do kogoś napisać. A więc dotarłeś zdrów i cały?

- Tak, tato - odpowiedział Bruno.

- A pomagałeś mamie i siostrze w przeprowadzce?

- Tak, tato - odpowiedział Bruno.

- No, to jestem z ciebie dumny - rzekł z aprobatą ojciec. - Siadaj, chłopcze.

Bruno wgramolił się na wskazany obszerny fotel naprzeciw biurka, wysoki tak, że nogami nie sposób było dotknąć podłogi gdy tymczasem ojciec wrócił na swoje miejsce i wbił w niego wzrok. Chwilę siedzieli bez słowa, aż wreszcie ojciec przerwał ciszę.

- No i? - spytał. - Co myślisz?

- Co myślę? - odrzekł Bruno. - A o czym?

- O naszym nowym domu. Podoba ci się?

- Nie - odparł szybko Bruno, bo zawsze starał się być uczciwy i czuł, że jeśli nie odpowie od razu, to później braknie mu odwagi, by wyrazić swe prawdziwe zdanie. - Sądzę, że powinniśmy wracać do domu - dodał śmiało.

Uśmiechnięty dotąd ojciec na moment się stropił, popatrując na swój list zaraz jednak znów spojrzął na Brunona, jakby miał zamiar bardzo poważnie zastanowić się nad jego odpowiedzią.

- Ależ to właśnie jest nasz dom, Bruno - rzekł w końcu miękkiem głosem. Odtąd będziemy mieszkać w PoŚwieciu.

- A kiedy wrócimy do Berlina? - zapytał Bruno, bo aż serce w nim zamarło. - Tam wiele milij.

- Daj spokój - odparł wyraźnie zniecierpliwiony ojciec. - Co ty opowiadasz? Dom to nie budynek, ulica czy miasto. Byle cegły i zaprawa to tylko pozór domu, bo przecież naprawdę dom jest tam, gdzie mieszka rodzina, chyba się ze mną zgodzisz?

- No tak, ale...

- A tutaj, w PoŚwieciu, są wszyscy nasi bliscy, chłopcze. Ergo, tu właśnie jest nasz

dom.

Bruno nie wiedział, co znaczy słowo "ergo", ale było to nieistotne, bo miał dla ojca wyjątkowo bystrą odpowiedź.

- Ale dziadek z babcią są w Berlinie - oświadczył. - A skoro należą do rodziny, to nasz dom nie może być tutaj.

Po namyśle ojciec skinął głową, wcale jednak nie odpowiedział mu od razu.

- Owszem, Bruno, należą. Ale ty, ja i mama oraz Gretel to w naszej rodzinie osoby najważniejsze, wobec tego zamieszkamy właśnie tutaj. W PoŚwieciu. Nooo, już się tak nie dąsaj!

(Bruno był nadąsany jak rzadko kiedy).

- Dopiero co się wprowadziłeś. Skąd wiesz, niedługo może ci się tu spodobać.

- Ale mnie się nie podoba - rzekł z całą mocą Bruno.

- Bruno - zaczął ze znużeniem ojciec.

- Nie ma tu ani Karła, ani Daniela, ani Martina, no i dookoła żadnych domów, straganów z owocami i warzywami, i ulic, i kawiarni, przed którymi można sobie siedzieć, i w ogóle nikogo, kto by się w sobotnie popołudnie mógł rozpychać na ulicy.

- Czasem tak już bywa, Bruno, że człowiek nie ma wyboru - odpowiedział ojciec takim tonem, że do chłopca dotarło, iż go zaczyna męczyć ta rozmowa. I cóż, przykro mi, ale tak właśnie jest w tej chwili. To moja praca, bardzo ważna dla mnie. Ważna dla naszego kraju. Jak również dla Furi. Kiedyś to zrozumiesz.

- Chcę wracać do domu - rzekł Bruno. Zebrało mu się na płacz i marzył już tylko o tym, by ojciec sobie nareszcie uzmysłowił, jak tu jest koszmarne, i by się zgodził, że najwyższy czas się stąd wynosić.

- Pogódź się wreszcie z faktem, że tu jesteś w domu - oświadczył jednak ojciec i Bruno poczuł się zawiedziony. - I tak to będzie wyglądało w najbliższej przyszłości.

Bruno na moment przymknął oczy. W życiu nie często zdarzało mu się aż tak upierać przy swoim, a już z pewnością nigdy nie wybrał się do ojca z tak silnym przeświadczeniem, że powinien on mimo wszystko zmienić decyzję lecz sama myśl o tym, że trzeba będzie zostać w tym straszliwym miejscu, gdzie w ogóle nie ma się z kim bawić, była dla niego trudna do zniesienia. Kiedy po chwili znowu otworzył oczy, ojciec podniósł się zza biurka i usadowił w fotelu koło niego. Bruno zobaczył, jak unosi wieczko srebrnej papierośnicy, wyciąga papierosa i przed zapaleniem stuka nim oblat.

- Pamiętam, jak w dzieciństwie - powiedział nie chciałem robić pewnych rzeczy, ale słysząc od ojca, że lepiej byłoby dla wszystkich, gdybym jednak nie odmawiał, natychmiast z

kopyta brałem się do rzeczy.

- Jakich rzeczy? - spytał Bruno.

- Przeróżnych - odparł ojciec, wzruszając ramionami. - To zresztą nieistotne. Byłem wtedy mały i nie wiedziałem, co jest lepsze. Czasami, na przykład, nie chciało mi się ślęczyć w domu i odrabiać lekcji. Wolałem wtedy, jak ty, wyjść na ulicę i bawić się z kolegami, a teraz mi się to wydaje wyjątkowo niemądre.

- Wobec tego wiesz, co czuję - rzekł z nadzieją Bruno.

- Owszem, ale też wiedziałem, że mój ojciec, a twój dziadek, chce dla mnie jak najlepiej, toteż godząc się z jego wolą, zawsze wychodziłem na tym znakomicie. Sądzisz, że osiągnąłbym aż tyle, gdybym wreszcie nie pojął, kiedy się warto sprzeczać, a kiedy milczeć i być posłusznym? No, proszę, słucham, Bruno!

Bruno się rozejrzył. W pokoju było narożne okno z tym potwornym widokiem.

- Czyś ty zrobił coś złego? - zapytał po dłuższej chwili. - Coś, co zagniewało Furię?

- Ja? - Ojciec spojrzał na niego ze zdumieniem. - O co ci chodzi?

- To znaczy: coś złego w pracy. Wprawdzie wszyscy mówią, jaki jesteś ważny, no i że Furia wiąże z tobą ogromne nadzieje, ale w takie miejsce by cię chyba nie wysyłał, chyba że za karę.

Ojciec roześmiał się, co tylko pogrzyżyło chłopca; nic go nie drażniło bardziej, niż gdy dorośli się z niego wyśmiewali, ponieważ czegoś nie wie zwłaszcza kiedy sam starał się znaleźć odpowiedź, zadając różne pytania.

- Nie rozumiesz powagi mego stanowiska - oświadczył ojciec.

- Hmm, nie wierzę, abyś był w tej pracy taki idealny, skoro właśnie przez nią musimy się wszyscy wynieść z przemysłowego domu i rozstać z przyjaciółmi, i nagle zamieszkać w tym strasznym miejscu. Pewno coś przeskrobałeś, więc powinieneś iść i przeprosić Furię, i wtedy może to się skończy. Może, jak się postarasz, zechce ci przebaczyć.

Nim zdążył się zastanowić, czy te słowa brzmią rozsądnie, czy też nie, już je wypowiedział; słysząc, jak unoszą się w powietrzu, uznał, że czegoś podobnego chyba jednak ojcu mówić nie wypada, no ale już się stało i teraz nie można było się wycofać. Nerwowo przełknął ślinę i po chwili milczenia znów zerknął na ojca, który wpatrywał się w niego ze skamieniałą twarzą. Bruno oblizał wargi i odwrócił wzrok, uznawszy, że w tej sytuacji tak będzie najrozsądniej.

Po kilku minutach przykrego milczenia ojciec wolno podniósł się z fotela i odkładając papierosa na popielniczkę, znów siadł za biurkiem.

- Ciekawe, czy silisz się na odwagę - rzekł po chwili cicho, jak gdyby sobie wszystko

rozważając czy mnie po prostu lekceważysz? A może to i nic złego.

- Nie chciałem.

- Teraz jednak zamilcz - upomniał ojciec podniesionym głosem, przerywając, ponieważ jego nie dotyczyły żadne zwykłe zasady rodzinnego życia. - Liczę się z twoim zdaniem, Bruno, bo wiem, że przeprowadzka nie jest dla ciebie przyjemnością. I słucham, co mi masz do powiedzenia, mimo że przez wzgląd na wiek i brak doświadczenia wyrażasz się bezczelnie. Jak byłeś łaskaw zauważyć, dotąd uchodziło ci to płazem, od dziś jednak masz się pogodzić z faktem, iż...

- Nie mam zamiaru się godzić! - zawołał Bruno, mrugając oczami ze zdziwieniem, bo prawdę powiedziawszy, w głowie mu nie powstało, że mógłby krzyknąć tak na cały głos.

Lekko się naprężył, gotów do biegu, jeśli będzie trzeba. Lecz dzisiaj widocznie nic nie mogło wyprowadzić ojca z równowagi, z resztą, chcąc być w zgodzie z własnym sumieniem, Bruno musiałby przyznać, że ojciec wpada w gniew nieczęsto, tylko przestaje się odzywać, zachowuje obojętnie i ostatecznie zawsze trzeba go usłuchać. Tak więc zamiast wrzeszczeć na chłopca i uganiać się za nim po domu, ojciec jakby nigdy nic pokręcił głową, sygnalizując, że dyskusja dobiegła końca.

- Idź do swego pokoju. - Głos jego brzmiał tak cicho, iż Bruno zaraz pojął, że nie wskóra nic więcej, i z oczami pełnymi łez, wściekły, zsunął się z fotela.

Ruszył ku drzwiom, nim jednak je otworzył, obrócił się, by zadać ostatnie pytanie.

- Tato?

- Bruno, dość mam - przerwał zirytowany ojciec.

- Nie o to chodzi - rzekł pospiesznie chłopiec. - Chciałem jeszcze tylko o coś spytać.

Westchnąwszy, ojciec dał znak, że może, choć sprawa jest już zamknięta i odtąd absolutnie nie ma mowy o dalszych sporach.

Bruno długo przemyślał swe pytanie, bo chciał, by wypadło jak najstosowniej, aby przypadkiem nie wyszło niegrzecznie czy też kłopotliwie.

- Co to za ludzie, ci za domem? - spytał w końcu.

Ojciec przechylił głowę, widać odrobinę zakłopotany.

- Żołnierze, Bruno - odpowiedział. I sekretarze, i sekretarki. Pracownicy biura. Przecież już ich znasz.

- Nie wszystkich - odparł Bruno. - Chodzi mi o tych, których widzę z okna. - Tych w domkach, tam w oddali. Wszyscy są ubrani identycznie.

- A, oni. - Ojciec z lekkim uśmiechem kiwnął głową. - To nie ludzie, Bruno.

Bruno zmarszczył brwi.

- Jak to? - spytał, niepewny, co ojciec ma na myśli.

- No, w każdym razie nie w naszym rozumieniu tego słowa - tłumaczył dalej ojciec. - Ciebie to jednak w tej chwili nie powinno martwić. Bo nie masz z nimi zupełnie nic wspólnego. Życzę sobie tylko, abyś się tu zadowił i był posłuszny. Po prostu przyjmij do wiadomości, że się znalazłeś w nowej sytuacji, a zaraz poczujesz się znacznie lepiej.

- Tak, tato - odparł Bruno, rozczarowany odpowiedzią.

Gdy otworzył drzwi gabinetu, ojciec przywołał go jeszcze na sekundę prostując się i unosząc brwi, jakby mu chciał o czymś przypomnieć. I chłopcu wtedy zaraz się to przypomniało, więc wypowiedział dwa słowa i wykonał gest identyczny jak on.

Staął mianowicie na baczność, uniósł w górę rękę i strzeliwszy obcasami, rzekł głosem jak najniższym i zarazem jak najwyraźniej ze wszystkich sił starając się przy tym naśladować ojca to, co on mówił zawsze, gdy żegnał się z żołnierzami: Heil Hitler.

Słowa te, sądził Bruno, znaczyły coś w rodzaju: "Na razie, miłego dnia".

## **Pokojówka, która zarabia ponad miarę**

Kilka dni później Bruno leżał na łóżku w swym pokoju, wpatrując się w sufit. Biała farba była popękana i obłaziła okropnie nieprzyjemnie nie to, co w berlińskim domu, gdzie nigdy nic nie odpryskiwało, bo matka co roku w lecie najmowała malarzy, aby poprawili, co trzeba. A tutaj, po południu, leżał tak sobie, zapatrzonej w siatkę pęknięć, mrużąc oczy i rozmyślając, co też się kryje pod spodem. Wyobraził sobie, że może w szczelinach pomiędzy farbą a sufitem mieszkają jakieś owady i tę farbę wypychają, rozłupują coraz bardziej, poszerzają, by powstała dziurka, przez którą dało by się przecisnąć i znaleźć okno, czyli: drogę ucieczki. Przecież nawet owady, pomyślał chłopiec, za nic by nie chciały zostać w PoŚwieciu.

Wszystko tu jest potworne - powiedział na głos, bo mimo że i tak nikt go nie słyszał, od samego wypowiedzenia tych słów zrobiło mu się trochę raźniej. Nie znoszę tego domu, nie znoszę pokoju, nie cierpię nawet tej farby. Wszystkiego tu po prostu nienawidzę.

Ledwo skończył mówić, w drzwiach stanęła Maria z jego świeżo upranymi, wysuszonymi i uprasowanymi ubraniami. Na widok leżącego chłopca chwilę się wahała, ale w końcu z lekko spuszczoną głową, po cichu, ruszyła w stronę szafy.

- Cześć - powiedział Bruno, bo choć rozmowa z pokojówką to jednak nie to samo, co pogawędka z przyjaciółmi, tu w ogóle nie można było z nikim pogadać, i zawsze to przecież lepsze od mówienia do siebie. Gretel gdzieś zniknęła, także już się zaczął martwić, że pewno zwariuje z nudów.

- Witam, paniczku Bruno - odezwała się cicho Maria, segregując kamizelki, spodnie i bieliznę, które kładła do oddzielnych szuflad i na osobne półki.

- Pewnie jest ci teraz tak samo smutno jak i mnie - stwierdził Bruno, na co Maria spojrzała na niego z miną wskazującą, że nie ma pojęcia, o co mu chodzi.

- No, że się tu przyjechało - wyjaśnił, siadając i rozglądając się wokół. - Ten dom i w ogóle.

- Koszmar, chyba nie zaprzeczysz?

Maria otworzyła usta, by coś odpowiedzieć, i zaraz równie prędko je zamknęła.

Widocznie, chcąc się wpięrować porządnie zastanowić, dobierała odpowiednie słowa i przygotowywała coś rozsądnego, by szybko zmienić zdanie i zrezygnować z tego, co już miała obmyślane. Bruno znał ją prawie od urodzenia. Zaczęła u nich pracować, gdy miał zaledwie trzy latka i od samego początku dogadywali się właściwie zawsze, tyle że dotąd żyła tak jakby troszkę w swoim własnym cieniu. Robiła, co do niej należy, polerowała meble,



prała ubrania, pomagała przy sprawunkach i gotowaniu, czasami towarzyszyła mu w drodze do szkoły i potem ze szkoły odbierała, choć to się działo o wiele częściej, gdy był ośmiolatkiem, bo skończywszy lat dziewięć, uznał, że jest dostatecznie duży, aby do szkoły i z powrotem do domu trafić już samodzielnie.

- A więc ci się tu nie podoba? - rzekła w końcu.

- Podoba? - odparł Bruno z uśmiechem. - Podoba? - powtórzył, ale teraz o wiele głośniejszym głosem. - Jasne, że mi się nie podoba! Tutaj jest okropnie. W ogóle nie ma co robić ani z kim pogadać, ani się pobawić. Chyba mi nie powiesz, że cię raduje ta cała przeprowadzka.

- Lubię ogród w domu w Berlinie - Maria odpowiedziała na całkiem inne pytanie. - Nieraz w ciepłe popołudnie lubiłam sobie przysiąść w słońcu i zjeść obiad w cieniu bluszczu nad stawem. Takie tam były śliczne kwiaty. No i zapachy. I te bzyczące pszczoły, takie spokojne, jak człowiek ich nie odganiał.

- Czyli że też ci się tu nie podoba? - zapytał Bruno. - I myślisz, jak ja, że jest potwornie.

Maria zmarszczyła brwi.

- Nieważne - odparła.

- Co nieważne?

- Co ja myślę.

- Pewnie, że ważne - oświadczył Bruno, zdenerwowany, że chyba specjalnie tak kręci.

- Przecież należysz do rodziny, prawda?

- Obawiam się, że twój ojciec ma na ten temat inne zdanie - odrzekła Maria, odważając się na uśmiech, bo ją wzruszyły słowa chłopca.

- No, przecież, jak ja, jesteś tutaj wbrew swojej woli. A wobec tego jedziemy na tym samym wózku. Z obłuzowanym kołem.

Przez chwilę Brunonowi zdawało się, że Maria wreszcie mu powie, co myśli naprawdę. A ona rozłożyła resztę ubrań na łóżku i zacisnęła dłonie w pięści, jakby ją coś straszliwie rozgniewało. Otworzyła usta i na sekundę zamarła, jak gdyby przerażona tym wszystkim, co może powiedzieć, jeśli jej tylko starczy śmiałości.

- No, proszę, Mario, powiedz - zachęcał Bruno. Kto wie: jakby się okazało, że wszystkim nam tu tak okropnie, to może jakimś cudem ojciec da się przekonać do powrotu.

Maria odwróciła wzrok i zasmucona pokręciła głową.

- Ojciec wie, co dla nas najlepsze - odparła, spoglądając na chłopca. - Musisz mu zaufać.

- Ale jakoś nie umiem - rzekł Bruno. - Według mnie, zrobił wielki błąd.

- Więc wszyscy powinniśmy się z tym pogodzić.

- Jak ja robię błąd, to mnie karzą - Obstawał przy swoim Bruno, zły, że reguły, które zawsze stosuje się wobec dzieci, najwyraźniej nigdy nie dotyczą dorosłych (choć to właśnie oni je ustalają).

- Głupi ten ojciec - mruknął pod nosem.

Maria aż otworzyła oczy i podeszła do chłopca, na moment zasłaniając usta z przerażenia. Rozejrzała się, by sprawdzić, czy przypadkiem nikt nie podsłuchuje i czy ktoś nie usłyszał słów Brunona.

- Nie wolno tak mówić - pouczyła. - Pod żadnym pozorem nie wolno ci mówić w ten sposób o własnym ojcu.

- A to niby dlaczego? - odparł Bruno, trochę mimo wszystko zawstydzony, że coś takiego powiedział, ale też absolutnie nie miał zamiaru pokornie słuchać nagany, bo przecież i tak najwidoczniej nikogo w ogóle nie interesowało jego zdanie.

- Bo twój ojciec to porządny człowiek - odpowiedziała Maria. - I to bardzo porządny. Troszczy się o nas wszystkich.

- Chodzi ci może o to, że nas przywiózł aż tutaj, nawet niewiedomo dokąd? To się nazywa troska?

- Twój ojciec robi bardzo dużo - odrzekła Maria. - Tyle, że powinieneś być z niego dumny. Gdyby nie twój ojciec, gdzie, według ciebie, bym się teraz podziewała?

- Wiadomo, że w Berlinie - oświadczył. - I pracowałabyś w miłym domu, zjadłaś obiad w cieniu bluszczu i nie odganiała pszczoł.

- Pewnie nie pamiętasz, kiedy zaczęłam u was pracować, prawda? - spytała cichutko, na chwilę siadając obok niego na łóżku, czego nigdy nie robiła. Bo też i jak? Miałaś wtedy trzy latka. Twój ojciec mnie przyjął i ogromnie mi pomógł. Zapewnił dom i pracę. Nakarmił. Nie masz pojęcia, co to znaczy. Nigdy nie byłeś głodny, chyba się nie mylę?

Bruno się nachmurzył. Wpierw chciał odpowiedzieć, że akurat teraz chętnie by coś przegryzł, przyjrząwszy się jednak Marii, po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie, że właściwie nigdy nie traktował jej jako osoby, która ma prawdziwe własne życie. Bo tak w ogóle, jeśli się orientował, nie zajmowała się niczym innym poza pracą w charakterze ich pokojówki. I nie był nawet pewien, czy oprócz stroju pokojówki kiedykolwiek zakłada coś innego. Gdyby się jednak zastanowić jak on w tym momencie należałoby przyznać, że życie Marii nie sprowadza się tylko i wyłącznie do usługiwania jemu i reszcie rodziny. Z całą pewnością, tak jak jego, Marię też pochłaniają jakieś myśli. I tak samo istnieją dla niej rzeczy, za którymi pewno tęskni, i przyjaciółki, których tak samo na pewno jej brak. I pewnie odkąd

tu przyjechali, też co noc zasypia we łzach jak chłopcy o wiele mniej dorośli i nie tak dzielni jak on. Poza tym zauważył, że jest całkiem ładna, co go zresztą nieco rozbawiło.

- Moja mama знаła twego ojca jeszcze wtedy, gdy miał tyle lat, co ty - powiedziała Maria po dłuższym milczeniu. - Za młodych lat twojej babki, gdy jeździła ona po Niemczech, była jej garderobianą. Przygotowywała dla niej kostiumy przed każdym koncertem: prała, prasowała i cerowała. Wspaniałe, niezwykle toalety. Ach, żebyś widział te jej szwy! Zawsze to było najprawdziwsze dzieło sztuki. Dziś takich garderobianych już się nie spotyka - kiwając głową, Maria uśmiechnęła się rozmarzona, a Bruno cierpliwie słuchał. - Zawsze pilnowała, by wszystko było dopięte na ostatni guzik, gdy twoja babka przed koncertem zjawiała się w garderobie. A później, kiedy babka poszła na emeryturę, mama służyła jej dalej z całym oddaniem, i wciąż dostawała niewielką pensję, ale że był to czas niełatwy, twój ojciec zatrudnił też mnie, i tak zaczęłam pracować po raz pierwszy w życiu. Parę miesięcy potem mama się rozchorowała i trzeba jej było zapewnić w szpitalu stałą opiekę lekarską, i wszystko to załatwił twój ojciec, choć wcale przecież nie miał takiego obowiązku. Opłacił to z własnej kieszeni, bo się przyjaźniła z jego matką. I z tego samego powodu wziął mnie pod swój dach. A gdy mama zmarła, sam pokrył koszt pogrzebu. Nigdy więc go nie nazywaj głupcem, Bruno. Nie w mojej obecności, bo ja ci na to nie pozwolę.

Bruno zagryzł wargi. Do tej pory liczył, że w akcji służącej rychłej wyprowadzce z PoŚwiecia, Maria go poprze, a tu się nagle okazało, komu tak naprawdę jest wierna. Choć z drugiej strony z tego, co opowiedziała ojciec zasługiwał na wielki szacunek.

- Hm - bąknął, nie wiedząc za bardzo, co odpowiedzieć faktycznie, zachował się przyzwoicie.

- Tak - Maria wstała i zbliżyła się do okna, przez które Bruno widział i domki, i tych ludzi w dali. - Był wtedy dla mnie bardzo dobry ciągnęła ściszym głosem, też patrząc teraz na tych ludzi i żołnierzy. Tyle w nim dobroci, że aż trudno uwierzyć... - Nagle gdzieś odpłynęła, a głos jej tak się załamał, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem.

- W co? - spytał Bruno.

- Jak... Jak może?

- C o? - chciał wiedzieć chłopiec.

Na dole trzasnęły drzwi, co rozniosło się echem w całym domu jak strzał z rewolweru.

Bruno aż podskoczył, a Maria wydała cichy okrzyk. Zaraz poznał coraz donośniejszy tupot butów na schodach i wlaźł z powrotem na łóżko, kuląc się pod ścianą, nie wiedząc czemu w strachu przed tym, co się za chwilę może zdarzyć. I wstrzymał oddech, ale okazało się, że to tylko Gretel, czyli Beznadziejny Przypadek. Zajrzawszy do pokoju, dziewczynka ze

zdumieniem stwierdziła, że jej brat gawędzi sobie z pokojówką.

- Cóż tu się dzieje? - zapytała.

- Nic - odrzekł stanowczo Bruno. - Nie twoja rzecz. Idź stąd.

- Sam sobie idź - odparła, choć to był jego pokój, i spojrzała na pokojówkę, podejrzliwie mrużąc przy tym oczy. - Mario, szykuj dla mnie kąpiel.

- A sama to nie łaska? - warknął chłopiec.

- Od tego mamy pokojówkę - oświadczyła wpatrując się w niego Gretel.

- Wcale nie od tego - Bruno zerwał się z łóżka i ruszył prosto na nią. - Dobrze wiesz, że nie jest po to, aby stale coś robić za nas. Zwłaszcza że masę rzeczy umiemy zrobić samodzielnie.

Gretel wgapiała się w niego tak, jakby stracił rozum i zaraz też popatrzyła na Marię, która gwałtownie pokiwała głową.

- Ależ naturalnie, panienko - powiedziała Maria. Wpierw skończę porządkować ubrania brata i zaraz się panienką zajmę.

- Tylko się pospiesz - rzuciła opryskliwie Gretel, bo w przeciwieństwie do Brunona nigdy do niej nie dotarło, że Maria tak samo jak ona jest istotą, która czuje i szybko odeszła do swego pokoju, zamykając drzwi.

Maria nie patrzyła za nią, lecz się zarumieniła.

- Nadal mi się zdaje, że zrobił okropny błąd - wyszeptał Bruno dopiero po kilku minutach, w poczuciu, że powinien przeprosić Marię za zachowanie siostry, choć nie do końca pewny, czy jest to słuszne, czy też nie. Zawsze w takich sytuacjach czuł się bardzo nieswojo, bo wewnętrzny głos mu podpowiadał, że nie ma powodu traktować ludzi nieprzyjemnie, nawet kiedy się zachowują nie tak, jak by się chciało.

- Rozumiem, ale nie powinieneś mówić tego głośno - prędko upomniała Maria, podchodząc do niego z taką miną, jakby chciała mu coś uzmysłwić. - Obiecuj, że to się więcej nie powtórzy.

- A czemu? - spytał Bruno, marszcząc brwi. - Przecież mówię, co czuję, to mi chyba wolno, prawda?

- Nie - odrzekła Maria. - Absolutnie.

- Nie mogę mówić, co czuję? - Nie dowierzał chłopiec.

- Nie - odparła stanowczo i nagle szorstkim głosem, akurat teraz, gdy ją już zaczynał lubić.

- Na ten temat ani słowa, Bruno. Wiesz, jakie by z tego mogły wyniknąć kłopoty, i to dla nas wszystkich?

Bruno spojrział na nią. Jak nigdy, w oczach miała dziwną, obłąkańczą troskę; troskę niepokojącą.

- Hm - mruknął, kierując się ku drzwiom w nagłym odruchu ucieczki. - Chciałem tylko powiedzieć, że mi się tu nie podoba i nic więcej. Chciałem tak sobie z tobą tylko pogawędzić, skoro masz tu robotę. Wcale nie zamierzam stąd zwiewać czy coś takiego. Choć pewno, gdybym zwał, i tak nikogo by to nie obeszło.

- Żeby rodzice się na śmierć zamartwili? - spytała Maria. - Jeśli masz choć trochę oleju w głowie, Bruno, to milcz, zajmij się nauką i bądź posłuszny ojcu. Musimy to wszystko jakoś przetrwać. Ja w każdym razie mam taki zamiar. Bo cóż nam zostaje? Niestety, nic tu nie poradzimy.

Raptem, jakoś tak bez powodu, chłopcu strasznie się zachciało płakać. Zdumiało go to do tego stopnia, że aż zamrugał powiekami prędko, by Maria przypadkiem się nie zorientowała. Choć znów, napotkawszy jej wzrok, pomyślał sobie, że dziś pewnie jest w powietrzu coś dziwnego, bo jej oczy też wydawały się pełne łez. Poczul się tak niezręcznie, że po prostu się odwrócił i ruszył do wyjścia.

- Gdzie się wybierasz? - zapytała Maria.

- Na pole - odparł ze złością. - Jak cię to aż tak interesuje.

Z początku szedł powoli, ale już na korytarzu rozpędził się i pognął schodami jak w obłądzie zdjęty nagłym poczuciem, że jeśli się stąd nie wyrwie, to zaraz zemdleje. W sekundzie znalazł się przed domem, zaczął biegać po podjeździe w tę i z powrotem, byle tylko czymś się zająć, byle się tylko zmęczyć. W oddali spostrzegł bramę wiodącą na drogę do stacji kolejowej, skąd jechało się do domu ale myśl, że mógłby wyjechać, uciec i być zdany tylko na siebie, okazała się jeszcze gorsza niż myśl o pozostaniu tutaj.

## Jak matka niesprawiedliwie przypisała sobie zasługę

Kilka tygodni po przyjeździe do PoŚwiecia wraz z rodziną, a bez nadziei na wizytę Karla, Martina czy Daniela, Bruno stwierdził, że musi sobie znaleźć jakąś rozrywkę, bo inaczej oszaleje.

Znał tylko jednego człowieka, którego uważał za wariata, a był nim Herr Roller, chyba rówieśnik ojca, co mieszkał tuż za rogiem, oczywiście w Berlinie. Wiecznie, całymi dniami i w nocy spacerował po ulicy tam i z powrotem, potwornie kłócąc się sam ze sobą. Czasem w trakcie awantury, rozeźlony, wszczynął bójkę z własnym cieniem, waląc ciałem o ceglany mur z taką zaciętością, że w końcu zaczynały mu krwawić ręce a wtedy padał na kolana, głośno zawodził i grzmocił się pięścią po głowie. Bruno nieraz słyszał z jego ust wyrazy, których mu nie było wolno używać i musiał powstrzymać śmiech.

Nie powinieneś się śmiać z biednego Herr Rollera - pouczyła go matka któregoś popołudnia, gdy opowiadała swej kolejnej wyprawie.

- Nie masz pojęcia, ile przeszedł.
- Wariat i tyle - Bruno porozumiewawczo gwizdnął i narysował palcem kółko na czole.
- Raz nawet podszedł do kota, żeby go zaprosić na podwieczorek.
- I co na to kot? - zainteresowała się Gretel, która akurat robiła sobie w kuchni kanapkę.
- Nic - odrzekł chłopiec. - Jak to koty.
- Naprawdę - ciągnęła matka - w młodości Franz był uroczy. Poznałam go, gdy byłam mała. Zawsze taki grzeczny i troskliwy, a tańczyć to on umiał prawie jak Fred Astaire. Ale w wielkiej wojnie doznał strasznych obrażeń. I przez te rany głowy tak się teraz zachowuje. Nie ma w tym nic śmiesznego. Ach, żebyś ty wiedział, co wtedy przeszli młodzi chłopcy, ile się wycierpieli.

Bruno miał wówczas dopiero sześć lat, więc nie do końca pojmował, o czym mówi matka.

Przed laty wyjaśniła, gdy spytał, kiedy to się działo.

- Zanim się urodziłeś. Jak wielu młodych, Franz walczył za nas w okopach. Wtedy ojciec go dobrze poznał i kto wie, czy nawet razem nie służyli.
- I co mu się przytrafiło? - spytał Bruno.
- Nieważne - odparła matka. - Nie wypada rozmawiać o wojnie. Boję się, że wkrótce będzie się o niej w domu mówić aż za często.

Było to bodaj trzy lata przed przeprowadzką do PoŚwiecia, i od tamtej pory Bruno nie myślał o Herr Rollerze prawie wcale, nagle jednak doszedł do wniosku, że jeśli nie zrobi czegoś rozsądnego i naprawdę pożytecznego, to w krótkim czasie sam zacznie się włóczyć po ulicach, tocząc ze sobą bitwy i zapraszając na przyjęcie zwierzaki.

Aby się nie nudzić, Bruno poświęcił cały sobotni ranek i całe popołudnie na wymyślaniu sobie nowej rozrywki. W pewnej odległości od domu od strony pokoju Gretel, tak że nie sposób go było dojrzeć z jego okna, rósł olbrzymi dąb o bardzo grubym pniu.

Wysokie drzewo z gałęziami tak potężnymi i mocnymi, że malec mógł się na nie wspiąć bez trudu. Dąb wyglądał na wiekowy, tak że Bruno stwierdził, iż pewnie go tu posadzono pod koniec średniowiecza, okresu, który ostatnio zgłębiał i który go ogromnie zaciekał zwłaszcza opowieści o rycerzach, co w poszukiwaniu przygód wyprawiali się do obcych krajów, gdzie zawsze odkrywali coś intrygującego.

W celu stworzenia nowej rozrywki Brunonowi potrzebne było tylko parę rzeczy: kawałek sznura i opona. Sznur udało się znaleźć dosyć łatwo, bo w piwnicy leżały go całe zwoje, a i wyszukanie ostrego noża, którym pociął sznur na tyle kawałków, ile uznał za niezbędne, też okazało się nad wyraz proste. I nóż, i sznur ułożył następnie na ziemi pod drzewem, ruszając na poszukiwanie dętki, a to jednak wymagało trochę więcej starań.

Akurat tego ranka rodzice byli poza domem. Matka wstała bardzo wczesnie i na cały dzień wybrała się pociągiem do pobliskiego miasta, by zażyć świeżego powietrza, ojca natomiast po raz ostatni widziano, jak się kierował w stronę wiadomych domków, tych w dali, za oknem Brunona. Jak zwykle przed domem stało mnóstwo ciężarówek i aut żołnierzy, i choć naturalnie chłopiec wiedział, że z nich się nie da ukraść dętki zawsze istniała możliwość znalezienia koła zapasowego.

Ledwie wyszedł z domu, zobaczył Gretel, jak rozmawia z porucznikiem Kotlerem stwierdził, acz bez większego entuzjazmu, że to pewnie jedyna osoba, którą by można zapytać. Porucznik Kotler był młodym oficerem, którego Bruno spostrzegł zaraz pierwszego dnia po przybyciu do PoŚwiecia, bo to właśnie on zjawił się wtedy na górze i chwilę mu się przypatrywał, a później, skinąwszy głową, oddalił się w swoją stronę. Odtąd Bruno widywał go bardzo często, bo żołnierz wciąż przychodził i wychodził, tak jakby ten dom do niego należał, i gabinet ojca widocznie wcale nie był dla niego niedostępny choć nie rozmawiali prawie w ogóle. Brunonie wiedział do końca, dlaczego lecz na pewno nie darzył sympatią porucznika Kotlera. Otaczała go jakaś taka aura, że Brunonowi za każdym razem robiło się okropnie zimno i miał ochotę czym prędzej założyć sweter. Ale że prócz niego nie było kogo zapytać o dętkę, chłopiec w końcu się przemógł, by podejść i z nim się przywitać.

Zazwyczaj młody oficer prezentował się bardzo elegancko w mundurze, który sprawiał wrażenie, jakby był co chwila odprasowywany. Czarne buty aż lśniły, tak miał starannie wyczyszczone. Jasnożółte włosy czesał z przedziałkiem z boku i układał idealnie w fale, tak że przypominały świeżo zaorane pole. Do tego spryskiwał się wodą kolońską na tyle obficie, że już z daleka można było wyczuć, iż nadchodzi.

Bruno starał się nigdy nie zbliżyć do niego pod wiatr, bo od tego zapachu w każdej chwili mógłby zemdleć.

Teraz jednak, w słoneczny sobotni poranek, oficer nie wyglądał tak sztywnie jak zawsze. Założył tylko spodnie i biały podkoszulek, a rozburzone włosy spadały mu na oczy.

Miał niesamowicie opalone ramiona i takie muskularne, jakie chciałby mieć Bruno. Tego dnia wyglądał znacznie młodziej, co wprowadziło Brunona w wielkie zdumienie, bo nie spodziewanie przypominał starszych chłopców ze szkoły, którym lepiej nie wchodzić w drogę. Porucznik Kotler był pochłonięty rozmową z Gretel, zdaje się, mówił coś okropnie zabawnego, bo siostra, kręcąc palcem loki, co chwila wybuchała śmiechem.

- Cześć - powiedział Bruno, gdy już do nich podszedł, na co Gretel rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Czego chcesz? - spytała.

- Niczego - odwrócił się Bruno. - Chciałem się przywitać.

- Kurt, wybaczyć mojemu braciškowi - zwróciła się Gretel do porucznika Kotlera. - Ma dopiero dziewięć lat.

- Witaj, mały - rzekł Kotler i wyciągnął rękę, mierzwiąc Brunonowi włosy w takim wstrętnym geście, że chłopiec chętnie by go przygwoździł do ziemi i jeszcze mu poskakał po głowie. - Tak wcześnie i przy sobocie, a ty już na nogach?

- Wcale nie tak wcześnie - odparł Bruno. - Dochodzi dziesiąta.

Porucznik Kotler wzruszył ramionami.

- Gdy byłem w twoim wieku, mama nie mogła mnie wywlec z łóżka do samego obiadu.

- Mówiła, że jak tak prześpię życie, nigdy nie wyrosnę i będę łamagą. Ale się chyba myliła, prawda?

Gretel uśmiechnęła się kokieteryjnie.

Bruno spojrzał na nią z niesmakiem. Przybrała jakiś taki dziwny ton, jakby jej głowa nigdy w życiu nie zaznała myśli. Zaprzagnął czym prędzej stamtąd się oddalić i Niechciał ani chwili dłużej z nimi rozmawiać, lecz nie mając wyboru, postanowił wprawdzie dopiąć celu i poprosić porucznika Kotlera o przysługę.



- Mógłbym o coś pana prosić? - spytał.

- Możesz - odrzekł porucznik, co znowu rozśmieszyło Gretel, choć wcale nie było zabawne.

- Ciekaw jestem, czy może są tu jakieś zapasowe koła - ciągnął Bruno. - Na przykład do łożnika. Albo do ciężarówki. Takie, których się nie używa.

- Jedyna wolna opona, o jakiej mi wiadomo, należy do sierżanta Hoffschneidera, który ją nosi nad biodrami - oznajmił porucznik Kotler z czymś na kształt uśmiechu.

Według Brunona to było całkiem bez sensu, ale Gretel rozbawiło tak, że aż zaczęła podskakiwać.

- A korzysta z niej? - zapytał chłopiec.

- Sierżant Hoffschneider? Oj, chyba tak. Jest do swej opony bardzo przywiązany.

- Kurt, przestań - rzekła Gretel, ocierając łzy. - On nic nie rozumie. Skończył dopiero dziewięć lat.

- Uspokój się wreszcie, dobra? - krzyknął z gniewem Bruno. Nie dość, że musiał do nich podejść i prosić porucznika Kotlera o przysługę, to na dodatek cały czas drażniła go rodzona siostra. Sama masz tylko dwanaście, więc już tak nie udawaj dorosłej.

- Nie długo, Kurt, skończę trzynaście - burknęła Gretel; nagle twarz jej skamieniała z przerażenia. Za dwa tygodnie będę. Tak jak ty.

Porucznik Kotler z uśmiechem kiwnął głową, ale nie powiedział ani słowa. A Bruno mu się przyjrzał. Gdyby miał przed sobą innego dorosłego, to pewno wzniosłby oczy ku niebu na znak, że przecież, jak obaj doskonale wiedzą, dziewczyny są głupie, a siostry wręcz nie do zniesienia. Lecz teraz nie stał przed nim żaden dorosły. Tylko porucznik Kotler.

- Czy oprócz tej opony - pytał Bruno, udając, że nie widzi wściekłego wzroku Gretel - jakaś by się jeszcze tu znalazła?

- Naturalnie - odpowiedział porucznik Kotler bez cienia wesołości, jakby nagle znudzony całą sytuacją. - A po co ci opona?

- Chciałbym zrobić huśtawkę. No, wie pan, taką z dętki. Zawiesić sznur na dwóch gałęziach.

- Ach, tak - porucznik Kotler kiwnął głową tak przemądrzale, jakby w jego wypadku coś podobnego należało do odległej przeszłości, choć, jak zauważyła Gretel, sam był ledwie nastolatkiem. - W dzieciństwie stałe robiłem huśtawki. Bez przerwy się na nich bawiliśmy z przyjaciółmi.

Bruno zdumiał się, jakim to cudem ma z nim w ogóle coś wspólnego (a jeszcze bardziej zdziwił go fakt, że porucznik Kotler miał kiedyś przyjaciół).

- Więc jak? Myśli pan, że coś by się znalazło? - spytał.

Wpatrzony w chłopca, porucznik Kotler widocznie się zastanawiał, czy powinien mu odpowiedzieć wprost, czy, jak to miał w zwyczaju, trochę go wpierw podrażnić. I wtedy spostrzegł Pawła starszego pana, który co dzień po południu przychodził pomagać w kuchni przy obieraniu warzyw na kolację, a potem zakładał białą marynarkę i podawał do stołu.

Na widok zmierzającego w stronę domu Pawła porucznik chyba wreszcie się zdecydował, co odpowie.

- Ej, ty! - zawołał, dodając jeszcze nieznane Brunonowi słowo. - Chodź no tu...

Ten ostatni wyraz zabrzmiał dziwnie ostro, aż chłopiec odwrócił się zawstydzony, że tutaj teraz przy nich stoi.

Gdy Paweł się zbliżył, Kotler zwrócił się do niego w sposób bardzo obraźliwy, mimo że przecież mógłby być jego wnukiem.

- Weź malca do szopy na tyłach głównego budynku. Pod ścianą leży trochę starych opon. Jak sobie coś wybierze, masz mu zanieść, gdzie zechce, zrozumiano?

Paweł stał przed nim z czapką w rękach i cały czas przytakiwał, chyląc i tak zawsze nisko opuszczoną głowę.

- Tak, panie - odrzekł cicho, tak cicho, jakby się wcale nie odezwał.

- A później, jak wrócisz do kuchni, nim czegokolwiek dotkniesz, pamiętaj o myciu rąk, parszywy... - spluwając, porucznik Kotler powtórzył to samo słowo już po raz trzeci.

Bruno spojrział na Gretel, która dotąd w zachwycie wpatrywała się w igrający na włosach porucznika Kotlera słoneczny promyk, a teraz chyba też poczuła się trochę niezręcznie. Do tej pory nigdy właściwie nie rozmawiali z Pawłem, ale był to dobry służący, a takich według ojca nie znajduje się na ulicy.

- No, idźże! - krzyknął porucznik Kotler, na co Paweł obrócił się i ruszył w kierunku szopy, a za nim Bruno który raz po raz oglądał się na siostrę i młodzieńca i czuł wielką pokusę, by zawrócić i ją od niego odciągnąć, mimo że była irytująca, skupiona na sobie i ciągle mu dokuczała. Choć w sumie, jako jego siostra, co innego miałyby robić? Ale wyrzucał sobie, że zostawia Gretel z kimś takim jak porucznik Kotler. No cóż, inaczej się tego ująć nie da: Bruno zachował się wyjątkowo podle.

Do wypadku doszło parę godzin później, gdy Bruno już sobie wyszukał odpowiednie koło, a Paweł zawlókł je pod rozłożysty dąb rosnący po stronie Gretel, i kiedy Bruno ze sto razy wspinał się na drzewo i znów z niego zląził, by porządnie poobwiązywać sznurem gałęzie i oczywiście oponę. Dotąd wszystko szło mu znakomicie. Już raz budował huśtawkę, tylko że wtedy miał do pomocy Karla, Daniela i Martina. Teraz jednak robił to samodzielnie,

więc rzecz okazała się o wiele trudniejsza. Ale w końcu się udało, tak że nareszcie mógł się usadowić na dętce i beztrudnie huścić w tę i z powrotem, choć, prawdę powiedziawszy, była to najbardziej niewygodna huśtawka, na jakiej w życiu siedział.

Leżąc na płask w samym środku koła, mocno odpychał się od ziemi. Huśtawka frunęła do góry rozpędzona tak, że musiał uważać, aby nie uderzyć o pień drzewa, ale za każdym razem odpychał się z jeszcze większą siłą i szybował coraz wyżej. Cały czas szło świetnie, aż przy kolejnym wykopie na sekundę puścił oponę i nie wiedząc kiedy, bezwładnie grzmotnął z hukiem o ziemię.

Na chwilę zrobiło mu się ciemno przed oczami, ale prędko oprzytomniał. Akurat kiedy chciał się podnieść, opona trzepnęła go w głowę, także aż jęknął i zaraz osunął się na ziemię. Gdy wstał, okazało się, że i ramię, i noga, na których wylądował, ciągle bardzo go bolą, ale na szczęście chyba nie są złamane. Poobcierał sobie całą rękę i do tego paskudnie rozciął łokieć. Z nogą jednak było znacznie gorzej, bo na kolanie miał głęboką ranę, która się wręcz dopominała, żeby na nią spojrzeć; ledwo tam zerknął, zobaczył krew.

- O, rany! - rzekł na głos, wpatrzony w ranę i niepewny, co dalej.

Nie musiał się jednak zastanawiać zbyt długo, bo huśtawka była po tej samej stronie domu, co i kuchnia, i Paweł, służący, który mu pomógł znaleźć oponę, akurat obierał przy oknie kartofle, więc spostrzegł, co się dzieje. Po chwili Bruno zobaczył, że Paweł zmierza w jego stronę, ale dopiero gdy go ujrzał koło siebie, odważył się całkiem poddać wzbierającemu uczuciu słabości. I pewno byłby znów upadł, ale Paweł szybko wziął go na ręce.

- Nie mam pojęcia, co się stało - powiedział chłopiec. - Myślałem, że mi nic nie grozi.

- Huśtałeś się za wysoko - szepnął Paweł tak cichutko, że Bruno natychmiast poczuł się bezpiecznie. - Wiedziałem, że lada chwila stanie się nieszczęście.

- No i się stało - rzekł Bruno.

- Nie inaczej.

Paweł przeniósł go przez trawnik aż do samej kuchni i tam posadził na drewnianym krześle.

- Gdzie mama? - spytał, rozglądając się, Bruno, bo jej właśnie szukał zawsze, gdy mu się przytrafił wypadek.

- Oj, chyba jeszcze nie wróciła - odpowiedział Paweł, który przyklęknąwszy przed chłopcem, badał zranioną nogę. - Jestem tylko ja.

- I co teraz będzie? - Bruno wpadł w lekką panikę, a to się mogło skończyć płaczem.

- Wykrwawię się na śmierć.

Paweł uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Na pewno się nie wykrwawisz - uspokajał, układając nogę chłopca na taborecie. - Chwilkę się nie ruszaj. Już biorę apteczkę.

Bruno patrzył, jak krząta się po kuchni, wyjmując z kredensu zieloną podręczną apteczkę i napełnia miskę wodą, sprawdzając najpierw palcem, czy nie jest za zimna.

- Pójdę do szpitala? - spytał Bruno.

- Nie. - Nie podnosząc się z kolan, odparł Paweł i umoczył szmatkę, którą delikatnie przyłożył do rany, na co Bruno się skrzywił, choć wcale to nie było aż takie bolesne. - To nic poważnego. Nawet szyć nie będzie trzeba.

Bruno zmarszczył brwi i nerwowo przygryzł wargi, tymczasem Paweł najpierw oczyścił ranę, a potem przez kilka minut dość mocno przyciskał to miejsce czystą szmatką.

Gdy w końcu delikatnym ruchem odjął szmatkę, krwawienie ustało, a wtedy wyjął z apteczki butelkę brunatnego płynu, którym przemył ranę, co tak zapiekło Brunona, że parę razy jęknął: „auaaua”.

- Nie jest źle - rzekł Paweł spokojnie i łagodnie. - Nie myśl o nodze i bólu, wtedy mniej będzie bolało.

Uznawszy słuszność tej rady, Bruno oparł się pokusie wydawania dalszych jęków, a Paweł, gdy wreszcie skończył przemywanie rany płynem, zakleił ją wydobytym z apteczki tamponem.

- No, chyba lepiej, co? - zapytał.

Bruno kiwnął głową, acz trochę mu było wstyd, że nie zachował się tak dzielnie, jak by chciał.

- Dziękuję - powiedział.

- Nie ma za co - odparł Paweł. - Zanim wstaniesz, posiedź tak sobie jeszcze trochę, dobrze? Niech tam się wszystko najpierw uspokoi. No i dziś już lepiej zostaw tę huśtawkę.

Bruno przytaknął, siedział, nawet nie drgnąwszy, z nogą na taborecie, gdy tymczasem Paweł podszedł do zlewu i porządnie umył ręce, szorując nawet paznokcie drucianą szczoteczką, po czym je wytarł i zabrał się do obierania kartofli.

- Powiesz mamie, co się stało? - zapytał Bruno, bo od dłuższego czasu zastanawiał się, czy go potraktują jako bohatera, który przeżył okropny wypadek, czy też jako złoczyńcę, który własnoręcznie buduje śmiertelną pułapkę.

- Pewnie się sama zorientuje - odrzekł Paweł, siadając przy stole naprzeciwko chłopca, z marchewkami, które zaczął obierać na starej gazecie.

- Tak, pewno masz rację - zgodził się Bruno. I może mnie weźmie do doktora.

- Raczej nie - rzekł cicho Paweł.

- Nie wiadomo - powiedział Bruno, licząc, że ten wypadek wzbudzi większe emocje. (Ostatecznie od samego przyjazdu tutaj nie przytrafiło mu się jeszcze nic równie kapitalnego).

- Kto wie, czym i się nie pogorszy.

- Na pewno nie - Paweł słuchał tylko jednym uchem; tak go pochłaniały te marchewki.

- A skąd wiesz? - Bruno troszkę się zniecierpliwił, choć przecież był to ten sam człowiek, który najpierw przybiegł, żeby go podnieść, a potem zaniósł do domu i zaraz się nim zajął. - Nie jesteś lekarzem.

Przerywając na chwilę obieranie marchewek, Paweł spojrział na Brunona przez stół.

Głowę miał spuszczoną, ale wzrok taki, jakby się zastanawiał, co na to odpowiedzieć.

W końcu, westchnąwszy, odparł:

- Owszem, jestem.

Bruno popatrzył na niego zaskoczony. Jego zdaniem to w ogóle nie miało sensu.

- Przecież ty jesteś służącym - rzekł wolno. No i obierasz marchew na kolację. Więc jak możesz być lekarzem?

- Młodzińcze - odrzekł Paweł (a Brunonowi bardzo się spodobało, że jest taki uprzejmy i zwraca się do niego w taki sposób, a nie mówi "mały", jak porucznik Kotler). - Bądź pewien, że jestem lekarzem. Nikt się nie staje astronomem od samego patrzenia nocą w niebo.

Bruno nic z tego ostatniego zdania nie zrozumiał, ale słowa Pawła zabrzmiały tak intrygująco, że po raz pierwszy postanowił mu się przyjrzeć. Paweł był drobny i bardzo chudy, miał długie palce i ostre rysy. Był starszy niż ojciec, ale młodszy od dziadka, zatem mimo wszystko dosyć stary i chociaż Bruno nie znał go przed przyjazdem do PoŚwiecia zdaje się, że dawniej nosił brodę. A od pewnego czasu już jej nie nosił.

- Nie rozumiem? - Bruno chciał dotrzeć do sedna. - Skoro jesteś lekarzem, to czemu podajesz do stołu? Czemu nie pracujesz gdzieś w szpitalu?

Paweł zwlekał z odpowiedzią bardzo długo, a chłopiec nie odzywał się, uznawszy, że chyba jednak grzeczniej będzie cierpliwie poczekać.

- Zanim się tu znalazłem, praktykowałem medycynę - rzekł w końcu Paweł.

- Praktykowałeś? - spytał Bruno, bo nie znał tego wyrazu. - To nie szło ci za dobrze?

Paweł się uśmiechnął.

- Szło znakomicie - odpowiedział. - Zawsze chciałem być lekarzem. - Marzyłem o tym już w dzieciństwie. Gdy miałem tyle lat, co ty.

- A ja chcę zostać odkrywcą - rzekł pośpiesznie Bruno.

- No, to trzymam kciuki.

- Dziękuję.

- Udało ci się już coś odkryć?

- W naszym berlińskim domu była cała masa rzeczy do odkrycia - odparł Bruno. - Ale on jest taki wielki, że to się nie mieści w głowie, pełen różnych zakamarków. Tu wszystko jest inaczej.

- Tu wszystko jest inne - zgodził się Paweł.

- Kiedy przyjechałeś do PoŚwiecia? - spytał chłopiec.

Paweł w zadumie odłożył na moment marchewkę i nożyk.

- Wydaje mi się, jakbym spędził tu wieki - odrzekł ściszym głosem.

- Więc się tu urodziłeś?

- Nie - zaprzeczył Paweł, kręcąc głową. - Skądże.

- No, ale mówisz...

Nie zdążył jednak dokończyć, bo za oknem rozległ się głos matki. Słyszając ją, Paweł zerwał się z krzesła i prędko przeniósł nożyk, marchewki i gazetę pełną obierek nad zlew, odwrócił się plecami do Brunona, ze zwieszoną głową i w milczeniu.

- A cóż się tobie stało? - zapytała matka, bo ledwie weszła do kuchni, zaraz się schyliła nad chłopcem, aby obejrzeć opatrunek.

- Zbudowałem huśtawkę i z niej zleciałem - wyjaśnił Bruno. - A potem huśtawka huknęła mnie w głowę i mało nie zemdlałem, ale przyszedł Paweł i oczyścił ranę, no i mnie opatrzył, i strasznie mnie piekło, ale się nie rozbeczałem. Wcale, prawda Paweł?

Paweł odwrócił się do nich, lecz głowy nie podniósł.

- Rana jest oczyszczona - rzekł cichutko, wcale nie odpowiadawszy chłopcu. - Nie warto się niepokoić.

- Bruno, idź do siebie - nakazała matka, wyraźnie zmieszana.

- Ale...

- Marsz do pokoju, bez dyskusji! - upomniała, więc Bruno wstał z miejsca, wspierając się na, jak o tym myślał, chorej nodze, tak że go troszeczkę zabolalo.

Po wyjściu z kuchni, kierując się ku schodom, usłyszał, jak matka dziękuje Pawłowi, co go szczerze uradowało, bo przecież to jasne jak słońce, że gdyby nie on, z pewnością byłby się wykrwawił na śmierć.

A przed samymi schodami dobiegło go coś jeszcze: ostatnie zdanie matki do służącego, który podawał się za lekarza.

- Gdyby komendant pytał, powiemy, że to ja opatrzyłam Brunona.

A Bruno stwierdził, że to wyjątkowo samolubne ze strony matki, żeby tak niesprawiedliwie przypisywać sobie tę zasługę.

## Czemu babcia wybiegła jak szalona.

Najbardziej ze wszystkich brakowało Brunonowi dziadka oraz babci. Mieszkali w małym mieszkaniu tuż koło straganów owocowo-warzywnych, a wtedy, gdy Bruno wyprowadzał się do PoŚwiecia, dziadek miał prawie siedemdziesiąt trzy lata, tak więc jego zdaniem był pewnie najstarszy na Ziemi. Raz Bruno nawet sobie wyliczył, że gdyby mógł przeżyć całe życie od nowa ośmiokrotnie, i tak byłby młodszy od dziadka o rok.

Dziadek przez całe życie prowadził restaurację w śródmieściu, a jednym z jego pracowników był ojciec Martina, przyjaciela Brunona, zatrudniony tam jako szef kuchni.

Mimo że dziadek od dawna już nie gotował ani też sam nie podawał do stołu, to dalej spędzał w restauracji prawie cały czas. Po południu przesiadywał za barem, gawędząc z klientami, co wieczór jadł tam kolację, a potem żartował z przyjaciółmi i zawsze zostawał do zamknięcia.

Za to babcia Brunona w porównaniu z babciami innych chłopców wcale nie wyglądała staro. Więc kiedy Bruno się dowiedział, że ma sześćdziesiąt dwa lata wielce go to zdumiało.

Dziadka poznała, będąc młodą panienką, po kolejnym swym koncercie, i on jakoś, mimo swoich licznych wad, nakłonił ją do małżeństwa. Miała (zaskakująco podobne do włosów synowej) długie rude włosy i zielone oczy, za sprawą, jak powiadała, swych irlandzkich korzeni. Zawsze gdy było w domu jakieś rodzinne przyjęcie, Bruno dokładnie wiedział, kiedy zabawa się rozkręca, bo babcia krążyła wokół fortepianu tak długo, aż ktoś przy nim zasiadł i poprosił, żeby zaśpiewała.

- Słucham? - wykrzykiwała wtedy, przyciskając dłoń do piersi, jakby w obawie, że zaraz straci oddech. - Ja mam śpiewać? Ależ to wykluczone. Obawiam się, młodzieńcze, że okres mej świetności dawno już przeminął.

- Zaśpiewaj nam! Zaśpiewaj! - wołali zgromadzeni goście, a wtedy po stosownej pauzie, nieraz aż dziesięć - czy dwunastosekundowej babcia ulegała, dziarsko zwracając się do młodzieńca przy fortepianie: La Vie en Rose, emoll. Tylko proszę nadażać.

Główną i największą atrakcją przyjęć w domu Brunona zawsze był występ babci, który, tak się jakoś składało, przypadał akurat na moment, gdy mama wraz z paroma koleżankami przechodziła do kuchni. Ojciec słuchał zawsze, podobnie jak Bruno, bo najbardziej w świecie lubił, jak babcia śpiewa pełnym głosem, a później na koniec upaja się zachwytem zgromadzonych. W dodatku, słuchając La Vie en Rose, miał dreszcze i dostawał gęsiej skórki.

Babcia marzyła, że Bruno albo Gretel pójdą w jej ślady, więc zawsze na Gwiazdkę i



urodziny przygotowywała przedstawienie, w którym grali we trójkę dla widowni złożonej z matki, ojca i dziadka. Te sztuki pisała samodzielnie i według Brunona zawsze najlepsze kwestie przeznaczała sobie, w czym zresztą jego zdaniem nie było nic zdrożnego. Zazwyczaj pytała: "Aha, chcecie tu piosenkę?", no i naturalnie ją śpiewała, natomiast Bruno mógł się popisać jakąś czarodziejską sztuczką, a Gretel zatańczyć. Na koniec każdego występu Bruno deklamował długi wiersz któregoś z wielkich poetów bardzo trudny do pojęcia, lecz za to z każdą lekturą coraz piękniejszy.

W ich przedstawieniach nie to jednak było najlepsze, tylko to, że kostiumy dla Brunona i Gretel babcia szyła własnoręcznie. Bez względu na rodzaj roli, nieważne, ile kwestii dostawał w porównaniu z siostrą czy babcią Bruno zawsze występował przebrany za księcia, arabskiego szejka, a raz nawet za rzymskiego gladiatora. Miało się zatem koronę, a jak nie koronę, to na pewno włócznię. A gdy nie było włóczni, to wtedy pejcze lub turbany.

I nigdy się nie wiedziało, co znowu wymyśli babcia, ale tydzień przed Gwiazdką Bruno i Gretel co dzień musieli się u niej stawić na kolejną próbę.

Ostatnie przedstawienie skończyło się porażką i Bruno dotąd wspominał je ze smutkiem, choć w sumie nie za bardzo wiedział, czemu doszło do kłótni.

Bodaj tydzień wcześniej w domu zrobiło się wielkie poruszenie, mające coś wspólnego z faktem, iż ojciec miał być odtąd tytułowany "komendantem" przez Marię, kucharkę i kamerdynera Larsa, jak również przez wszystkich żołnierzy, którzy bez przerwy kręcili się po domu jak zauważył Bruno, traktując go jak własny, a nie jego. Zresztą to ogólne poruszenie trwało tak od tygodni. Wpierw przyszedł na kolację Furia z prześliczną blondynką, więc cały dom został postawiony na baczność, a potem, nie wiedzieć czemu, trzeba było się zwracać do ojca per "komendancie". Matka kazała Brunonowi pogratulować ojcu, więc to zrobił, mimo że (jak zawsze) chcąc być w zgodzie z własnym sumieniem, musiałby wyznać, że nie całkiem rozumie dlaczego.

W Boże Narodzenie ojciec wystąpił w nowym mundurze tym wyczyszczonym i odprasowanym, który teraz nosił co dzień i gdy się w nim pierwszy raz pojawił, to cała rodzina aż mu biła brawo. Trzeba przyznać, że prezentował się w nim wyjątkowo. Bardzo się wyróżniał spośród reszty żołnierzy, którzy się bez przerwy kręcili po domu, a odkąd włożył ten mundur, żołnierze odnosili się do niego z jeszcze większym szacunkiem. Matka podeszła do ojca, ucałowała go w policzek i zachwyciła się jakością materiału. Na chłopcu zaś największe wrażenie wywarła liczba odznaczeń i nawet wolno mu było trochę ponosić sobie czapkę byle tylko jej przypadkiem nie ubrudził.

Dziadek był bardzo dumny z syna, gdy go w tym mundurze zobaczył po raz pierwszy,

za to na babci w przeciwieństwie do reszty rodziny w ogóle nie zrobiło to żadnego wrażenia.

Gdy po kolacji i po najnowszej premierze teatralnej Brunona i Gretel zasmucona babcia siadła sobie w fotelu, patrząc na ojca, zaczęła kręcić głową, tak jakby ją straszliwie zawiódł.

- Wiesz, Ralf, ciekawa jestem, na czym tu polega moja wina? - powiedziała. - Czy to przez te przedstawienia, w których cię obsadzałam, kiedy byłeś dzieckiem. Gdy cię przebierałam, jakbyś był marionetką.

- Oj, mamó - wyrozumiale odparł na to ojciec. - Do prawdy, nie czas na wymówki.

- Pewnie ci się zdaje - rzekła babcia, - że w tym mundurze jesteś wyjątkowy. Bez względu na to, co symbolizuje tak naprawdę.

- Natalio, już powiedzieliśmy to sobie - odezwał się dziadek, ale wszystkim było wiadomo, że babcia i tak zawsze postawi na swoim, choćby to było nie wiadomo jak przykre.

- To znaczy, Mateuszu, ty mówiłeś - odparła babcia. - Ja byłam niby ta ściana. Z resztą jak zwykle.

- Bawmy się, mamó - upominał ją z westchnieniem ojciec. - Jest Boże Narodzenie. Nie psujmy sobie święta.

- Pamiętam, jak się zaczęła wielka wojna - kręcąc głową, rzekł wyniośle dziadek wpatrzony w ogień na kominku. - Przyszedłeś wtedy do domu, aby nam oznajmić, że się zaciągnąłeś, i zaraz poczułem, iż nie wyjdzie ci to na dobre.

- No i nie wyszło - stwierdziła babcia. - Prawda, Mateuszu?

- Tymczasem, kto by się spodziewał - nie zwracając uwagi na babcię, ciągnął dziadek.

- Twoja pozycja napawa mnie wielką dumą. Nareszcie, po tylu upokorzeniach, przysłużysz się państwu. To wieczne zagrożenie.

- Czy wy się słyszycie?! - wrzasnęła na to babcia. - Sama już nie wiem, który z was jest głupszy!

- Ależ, Natalio - wtrąciła się matka, próbując ich trochę uspokoić. - Chyba się zgadzasz, że w nowym mundurze Ralf wygląda pięknie?

- Pięknie? - zachnęła się babcia, patrząc na synową takim wzrokiem, jakby ta straciła rozum. - Pięknie, mówisz? Ty idiotko! Więc to się dla ciebie liczy? Uroda? Proszę, słucham?

- A czy ja ładnie wyglądam w kostiumie cyrkowca? - zapytał Bruno, bo właśnie tego wieczoru z okazji przedstawienia miał na sobie czerwono-czarny strój konferansjera w cyrku i z tego powodu bardzo był z siebie dumny.

Natychmiast pożałował tych słów, bo wszyscy dorośli spojrzeli na niego i na Gretel tak, jakby zupełnie zapomnieli o ich obecności.

- Dzieci, proszę na górę - rzekła prędko matka. - Marsz do siebie.

- Nie chcemy - sprzeciwiła się Gretel. - Może pobawimy się tutaj?

- Nie ma mowy - uparła się matka. - W tej chwili na górę i zamknąć za sobą drzwi.

- Żołnierze widzą wyłącznie koniec własnego nosa - oświadczyła babcia, nie zważając na dzieci. - W mundurze trzeba się pokazać jak najlepiej. Wy byście się stale tylko przebierali, a robicie takie straszne rzeczy. Wstyd mi za was. No ale, Ralf, to w końcu nie twoja wina, tylko moja.

- Dzieci, marsz na górę! - upomniała matka, klaszcząc w dłonie, tak że już teraz trzeba jej było posłuchać bez dyskusji.

Nie poszli jednak prosto do siebie, tylko zamknawszy drzwi, usiedli na schodach, żeby usłyszeć, o czym rozmawiają na dole dorośli. Niestety głosy mamy i ojca były stłumione, tak że nie dało się prawie nic zrozumieć, dziadka nie było słyhać wcale, a głos babci okazał się, o dziwo, najmniej wyraźny. Wreszcie po kilku minutach drzwi otwały się z wielkim hukiem, więc dzieci biegiem ruszyły na górę gdy tymczasem babcia zdjęła płaszcz z wieszaka w holu.

- Hańba! - krzyknęła, wychodząc. - Rodzony syn.

- Patriotą! - zawołał ojciec, który się, widać, nie nauczył, że matce przerywać nie wolno.

- Akurat! - wrzasnęła babcia. - A kogóż to niby zapraszacie na kolację? Zemdlilo mnie, tyle ci powiem! Wyłupiłabym sobie oczy, żeby nie oglądać cię w tym mundurze! - dodała, wybiegając i trzaskając drzwiami.

Od tej pory Bruno widywał babcię dosyć rzadko i kiedy wyjeżdżali do PoŚwiecia, nie mógł się nawet z nią pożegnać, lecz bardzo mu jej brakowało i postanowił, że do niej napisze.

Więc tego dnia zaczął pisać list, w którym jej opowiedział, jak mu strasznie smutno i jak bardzo pragnie wrócić do Berlina. Opisał i dom, i ogród, i ławkę z tabliczką, i wysokie ogrodzenie, i drewniane słupy telegraficzne, i zwoje drutu kolczastego, i ubitą ziemię, i domki, i niskie budynki, i kominy, i żołnierzy, ale przede wszystkim zamieszkałych tam ludzi, którzy chodzą w pasiastych piżamach i płóciennych czapkach, a na koniec wyznał, jak mocno za nią tęskni, podpisując się "kochający wnuk Bruno".

## **Brunonowi się przypomina, że zawsze lubił wyprawy odkrywcze**

W PoŚwieciu dosyć długo nic się nie zmieniło.

Bruno wciąż musiał znosić humory Gretel, a jako że była ona Beznadziejnym Przypadkiem, zdarzało się to nader często.

Nie zmiennie marzył o powrocie do Berlina, choć wspomnienia o domu stopniowo zaczęły się zamazywać i mimo że przecież obiecał to sobie, od tygodni ani razu nie przemknęło mu przez głowę, by znowu wysłać list do babci albo dziadka, a cóż dopiero wziąć się do pisania.

Bez przerwy też kręcili się po domu żołnierze, konferując w gabinecie ojca, Niedostępnym Zawsze Bez Wyjątku. Porucznik Kotler, jak zwykle, kroczył w tych swoich czarnych butach tak, jakby na całym świecie nie było ważniejszej osoby, i gdy go nie wzywał ojciec, gawędził z Gretel na podjeździe, a ona się śmiała do rozpuku i kręciła palcem loczek, lub na osobności poszeptywał z matką.

Ciągle przychodziła służba, aby myć, odkurzać, szorować, gotować, podawać i zbierać ze stołu oraz się nie odzywać, chyba że na czyjeś polecenie. Maria jak dotychczas zajmowała się głównie sprzątaniami i pilnowaniem, żeby te części garderoby, których Bruno nie nosi, leżały starannie poskładane w szafie. A po południu wciąż przychodził Paweł, żeby obrać marchew i kartofle i potem podawać do stołu w białej marynarce (jak zauważył Bruno, zerkał czasem na jego kolano, gdzie się zrobiła blizna po wiadomym wypadku z huśtawką lecz w ogóle się do niego nie odzywał).

Aż nagle wszystko się zmieniło. Ojciec postanowił, że czas, by dzieci powróciły do nauki i mimo że zdaniem Brunona szkoła z dwojgiem uczniów to absurd, rodzice zgodnie stwierdzili, iż co dzień ma przychodzić do nich nauczyciel, tak że całe ranki i popołudnia będą mieli lekcje. Niebawem więc, wczesną porą, przed dom zajechał swym gruchotem niejaki Herr Liszt i znów zaczęła się szkoła. Herr Liszt był dla Brunona postacią bardzo tajemniczą. Chociaż na ogół przyjazny i w przeciwieństwie do nauczyciela w Berlinie nigdy nie podnosił ręki, w jego oczach było coś takiego, jakby w każdej chwili miał wybuchnąć gniewem.

Herr Liszt szczególnie uwielbiał historię i geografę, Bruno natomiast wołał literaturę i plastykę.

- Na nic się one nie przydadzą - mówił nauczyciel. - Gruntowne rozumienie nauk społecznych jest obecnie znacznie ważniejsze.

- A w Berlinie babcia nam pozwalała występować w różnych sztukach - zauważył

Bruno.

- Babcia nie była nauczycielką, prawda? - powiedział Herr Liszt. - Tylko babcią. Ale że tu i teraz uczę ja, macie zgłębiać przedmioty, które uznam za istotne, a nie tylko to, co byście chcieli.

- To książki nie są ważne? - spytał Bruno.

Owszem: te traktujące o sprawach ważnych dla świata - wyjaśnił Herr Liszt. - Nie były opowiadki o zmyślonych sytuacjach. A co ty, młodzieńcze, właściwie wiesz o swej historii?

(Bo, trzeba przyznać, że Herr Liszt tak jak Paweł zwracał się do Brunona per "młodzieńcze" nie tak jak porucznik Kotler).

- No, wiem, że urodziłem się piętnastego kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego - zaczął Bruno.

- Nie o tę historię - pytam przerwał Herr Liszt. - Nie chodzi o twoją historię, tylko wiedzę o twej tożsamości, dziedzictwie, pochodzeniu. Mam na myśli twoją ziemię ojczystą.

Bruno się zamyślił, marszcząc brwi. Nie wydawało mu się, żeby ojciec miał jakąś ziemię, bo choć dom w Berlinie był duży i wygodny, to tamtejszego ogrodu raczej by się nie nazwało wielkim. A PoŚwiecie przecież nie stanowiło ich własności choć trzeba przyznać, że ziemi tu nie brakowało.

- Nie wiem za dużo na ten temat - przyznał w końcu. - Chociaż troszkę się znam na wiekach średnich. Lubię opowieści o rycerzach i wyprawach.

Herr Liszt syknął przez zęby i zagniewany pokręcił głową.

- A więc jato zmienię - rzekł złowieszczym tonem. - Dopilnuję, byś zamiast czytać bajki, zgłębiał własne dzieje. Żebyś się dowiedział, na czym polega ogrom twoich krzywd.

Bruno pokiwał głową, szczerze uradowany, że się nareszcie dowie, czemu wszyscy musieli z wygodnego domu przenieść się w to koszarne miejsce bo to z pewnością była największa ze wszystkich krzywd, jakie mu wyrządzono w krótkim życiu.

Parę dni później, siedząc samotnie w pokoju, Bruno zamyślił się nad różnymi rzeczami, które uwielbiał robić w domu, a których od samego początku pobytu w PoŚwieciu robić nie mógł wcale. Był ich pozbawiony głównie ze względu na brak kolegów do zabawy, a Gretel wiadomo nigdy nie miała ochoty się z nim bawić. Lecz tak jak w Berlinie jedno mógł robić samodzielnie. A mianowicie: poszukiwać.

- W dzieciństwie - rzekł do siebie Bruno, - wciąż się wyprawiałem na poszukiwania. To było wspaniałe! Tylko że w Berlinie, a tam się wszystko знаło i z zawiązanymi oczami można było trafić, gdzie się człowiekowi spodoba. A tu nic jeszcze nie odkryłem. Więc już

najwyższy czas.

W te pędy, żeby się przypadkiem nie rozmyślić, Bruno wyskoczył z łóżka i zaraz wyrzebał z szafy gruby płaszcz oraz stare buty do kostek strój, który jego zdaniem powinien mieć odkrywca z prawdziwego zdarzenia i zaczął się szykować do wyjścia.

Wyprawami badawczymi w domu szkoda było sobie zawracać głowę. W ogóle nie przypominał on domu berlińskiego, pełnego przeróżnych zakamarków i dziwnych pokoików, by już nie wspomnieć trzech piętér, piwnicy i poddasza z oknem, przez które dało się wyglądać tylko stojąc na palcach. Oj, nie: jak chodzi o wyprawy, było tu wyjątkowo okropnie. Aby przedsięwziąć jakąś wyprawę, należało wyjść z domu. Bruno już od kilku miesięcy wyglądał ze swego okna na ogród, ławkę z tabliczką, wysokie ogrodzenie, drewniane słupy telegraficzne i całą resztę opisaną w niedawnym liście do babci. Lecz choć niezliczonym ludziom w pasiastych piżamach przyglądał się wiele razy nigdy, ale to nigdy nie zadał sobie pytania, o co tu właściwie chodzi.

Sprawiało to wrażenie osobliwego miasta, w którym wszyscy mieszkają i pracują tuż koło jego domu. Czy jednak ci ludzie jakoś się różnili od Brunona? Każdy tu chodził w pasiastej piżamie i płóciennej czapce, a wszyscy ludzie, którzy się kręcili po domu (wyjąwszy matkę, Gretel i jego), nosili mundury rozmaitej rangi oraz czapki i hełmy, jaskrawe czerwono-czarne opaski na ramieniu i broń, i zawsze wyglądali tak surowo, jakby to wszystko było niesłychanie ważne i jakby nikt nie miał prawa sądzić inaczej.

- Na czym właściwie polega różnica - zastanawiał się. - I kto decyduje, którzy ludzie mają nosić pasiaste piżamy, a którzy mundury?

Naturalnie czasem te dwie grupy się łączyły. Bruno nieraz widywał ludzi ze swojej strony ogrodzenia po stronie przeciwnej iż jego obserwacji niezbitcie wynikało, że ci sprawują władzę. Za każdym razem, gdy się u nich zjawiali żołnierze, piżamowcy stawali na baczność, padali na ziemię, a czasem wcale nie wstawali, tak że ich trzeba było wynosić.

- Dziwne, że dotąd o nich nie myślałem - stwierdził Bruno. - No i, jakby się tak zastanowić, dziwne, że chociaż ci żołnierze, a przecież nieraz i sam ojciec, chodzą tam bez przerwy, nikogo stamtąd ani razu nie zaproszono tu, do domu.

Czasami nie często, ale jednak zostawało na kolacji kilku żołnierzy i wtedy wjeżdżała na stół masa szklanek pełnych pianistego napoju, a gdy już Bruno z Gretel zjedli, zaraz kazano im iść do siebie i na dole robił się przeraźliwy zgiełk, i dolatywały stamtąd przeokropne śpiewy. Rodzice, jak zauważył Bruno, w towarzystwie żołnierzy czuli się znakomicie. Nikogo jednak z pasiastych piżamowców nigdy nie zaprosili na kolację.

Po wyjściu z domu chłopiec skrzyknął, by zerknąć na swe okno, które z tej perspektywy

wcale już mu się nie wydało takie wysokie, jak dotychczas. Spokojnie by można z niego skoczyć i nic strasznego by się człowiekowi nie stało, szacował w myślach choć trudno mu było sobie wyobrazić, po co miałby próbować czegoś tak durnego. Może gdyby wybuchł pożar i nie miałby wyjścia, ale i wtedy też byłoby to raczej dosyć ryzykowne.

Spojrzawszy w prawo, pod słońce, zauważył, że wysokie ogrodzenie ciągnie się w nieskończoność, i ucieszył się, bo dzięki temu nie można było zobaczyć, co też jest dalej mógł więc tam pójść i przekonać się na własne oczy, a przecież właśnie na tym polega odkrywanie. (Podczas lekcji historii dowiedział się od Herr Liszta czegoś absolutnie cudownego: że niegdyś istnieli, na przykład, Krzysztof Kolumb i Amerigo Vespucci, a ich pełne przygód i ciekawe życie tylko umocniło w nim wiarę, że gdy dorośnie, na pewno pójdzie w ich ślady).

Zanim jednak wyruszył w tamtą stronę, musiał się dokładnie przyjrzeć ławce.

Chociaż ciągle się na nią gapił z daleka i nawet już zdążył nadać jej miano "ławki z tabliczką" to nadal nie miał pojęcia, co tam jest napisane. Rozglądnął się, by sprawdzić, czy ktoś nie nadchodzi, podbiegł do ławki i mrużąc oczy, przeczytał sobie po cichu napis umieszczony na niepozornej tabliczce z brązu.

„Dar z okazji otwarcia...” zawahał się. „Obozu P o - Ś w i e c i e” czytał dalej, jak zwykle zacinając się na tym wyrazie. „Czerwiec roku tysiąc dziewięćset czterdziestego”.

Chwilę wodził palcem po tabliczce, ale że brąz był bardzo zimny, prędko cofnął rękę.

Wziął głęboki oddech i rozpoczął swą wyprawę. Starał się tylko nie myśleć o tym, co mu setki razy powtarzali rodzice: że w tym kierunku zapuszczać się nie wolno, że pod żadnym pozorem nie może się zbliżyć do ogrodzenia oraz, co najważniejsze, że w PoŚwieciu wyprawy odkrywcze są zabronione.

Zawsze bez wyjątku.

## **Kropka, z której się zrobił punkt, z którego się zrobiła plama, z której się zrobiła sylwetka, z której się zrobił chłopiec**

Wędrówka wzdłuż ogrodzenia trwała o wiele dłużej, niż się spodziewał Bruno, bo ogrodzenie zdawało się ciągnąć parę kilometrów. Szedł więc i szedł, a z każdym spojrzeniem wstecz dom, w którym mieszkał, robił się coraz mniejszy, aż wreszcie całkiem zniknął z pola widzenia. Po drodze Bruno ani razu nie zobaczył, żeby ktoś stał w pobliżu ogrodzenia, i nie udało mu się znaleźć bramy, więc zaczął go ogarniać lęk, że wyprawa się nie uda. Bo rzeczywiście, choć ogrodzenie się gało po horyzont, domki, budynki i kominy stopniowo zniknęły gdzieś w oddali, tak że przed sobą miał już teraz tylko otwartą przestrzeń.

Po blisko godzinnym marszu Bruno troszkę zgłodniał i stwierdził, że jak na jeden dzień już starczy tego odkrywania i chyba rozsądniej będzie wracać. W tej samej chwili jednak w oddali pojawiła się kropeczka, więc prędko zmrużył oczy, żeby sprawdzić, co to.

Raz, przypomniało mu się, czytał taką książkę, której bohater zgubił się na pustyni i kilka dni nie mając nic do jedzenia ani picia, zaczął sobie nagle wyobrażać, że widzi wspaniałe restauracje i olbrzymie fontanny, ale gdy próbował jeść i pić, zmieniały się w garstkę piachu.

I tak pogrążony w zadumie szedł dalej, powoli, krok po kroku zbliżając się do kropki, która tymczasem zmieniła się w punkcik i już po chwili, jak wskazywały wszelkie znaki na niebie i ziemi w plamę. Zaraz też ta plama zmieniła się w sylwetkę, aż wreszcie, gdy Bruno podszedł jeszcze bliżej, okazało się, że to ani kropka, ani jakiś punkcik, ani plama, ani też sylwetka, tylko żywy człowiek.

A mówiąc ściśle: chłopiec.

Bruno dosyć się naczytał o różnych odkrywcach, by wiedzieć, że nigdy nie wiadomo, co się znajdzie. Na ogół ci odkrywcy znajdowali coś ciekawego, co sobie po prostu było i zajęte sobą czekało na odkrycie (na przykład: Ameryka). Albo też trafiali na coś, co się powinno zostawić w spokoju (na przykład: zdechłą mysz na dnie kredensu).

Chłopiec należał do tej pierwszej kategorii. Siedział sobie jak gdyby nigdy nic, czekając, aż go ktoś odkryje. Na widok kropki, co się zmieniła w punkcik, co się zmienił w plamę, co się zmieniła w postać, która się okazała chłopcem Bruno nieco zwolnił. Chociaż dzieliło ich ogrodzenie, wiedział, że gdy chodzi o nieznanymi, zawsze trzeba bardzo uważać i cały czas mieć się na baczności. Znów ruszył więc zwawym krokiem i już po chwili stanęli twarzą w twarz.



- Cześć - powiedział Bruno.

- Cześć - odpowiedział chłopiec. Był mniejszy od Brunona i siedział na ziemi z żalną miną. Miał na sobie pasiastą pizamę i płócienną czapkę, jak wszyscy po tamtej stronie ogrodzenia. Był bez butów i skarpetek i miał strasznie brudne nogi a na ramieniu opaskę z gwiazdą.

Gdy Bruno zbliżył się do niego siedział po turecku, wpatrzony w ziemię pokrytą pyłem. Lecz prędko uniósł głowę i wtedy Bruno zobaczył jego twarz. Też była jakaś dziwna: prawie całkiem szara, chociaż takiego odcienia szarości Bruno nie widział chyba nigdy w życiu. Chłopiec miał olbrzymie smutne oczy barwy karmelkowej, o niesamowicie białych białkach.

Bruno stwierdził bez cienia wątpliwości, że jeszcze nigdy nie spotkał chudsze ani smutniejszego chłopca lecz mimo wszystko uznał, że warto z nim porozmawiać.

- Jestem na poszukiwaniach - oznajmił.

- Coś ty? - zdumiał się chłopczyk.

- Aha. Prawie od dwóch godzin. - Nie było to do końca prawdą. Bruno rozpoczął poszukiwania bodaj godzinę temu, ale sobie pomyślał, że odrobina przesady nie zaszkodzi.

To jednak niezupełnie to samo, co kłamstwo, więc niby czemu nie udać większego śmiałka, niż się jest naprawdę?

- Znalazłeś coś? - spytał chłopiec.

- Nie wiele.

- Nic?

- Znalazłem ciebie - po chwili odpowiedział Bruno.

Wpatrzony w chłopca, zastanawiał się, czy by go nie zapytać, dlaczego jest taki smutny, ale się powstrzymał, uznawszy, że to chyba niezbyt grzeczne. Smutni ludzie nie zawsze są zadowoleni, kiedy się ich o to pyta, choć niektórzy mówią o tym z własnej woli i zdarza się nieraz, że potem tak o swym nieszczęściu opowiadają miesiącami, w kółko, lecz Bruno doszedł do wniosku, że w tej sytuacji lepiej będzie zachować cierpliwość i o nic się nie dopytywać. Podczas wyprawy udało mu się coś odkryć, a skoro już nawiązał kontakt z osobą zza ogrodzenia postanowił, że trzeba to wykorzystać jak najrozsądniej.

Siadł więc na ziemi po swej stronie ogrodzenia, po turecku, jak chłopczyk, i zaraz zrobiło mu się przykro, że nie wziął jakiejś czekolady albo ciastka, aby się z nim podzielić.

- Mieszkam w domu po tej stronie ogrodzenia - powiedział.

- Naprawdę? Widziałem go raz z daleka, ale ciebie nie.

- Mam pokój na pierwszym piętrze - odparł Bruno. - Można stamtąd patrzeć ponad

ogrodzeniem. A tak w ogóle to na imię mi Bruno.

- A mnie Szmul - rzekł chłopczyk. Bruno mocno ściągnął brwi, niepewny, czy go dobrze słyszy.

- Jak? - spytał.

- Szmul - odpowiedział chłopczyk, jakby to było najnormalniejszą rzeczą pod słońcem.

- A ty jak masz na imię?

- Bruno - powiedział Bruno.

- W życiu nie słyszałem o takim imieniu - oświadczył Szmul.

- A ja w życiu o twoim - odparł Bruno. Szmul. Szmul powtórzył po namyśle. Dobrze się je wypowiada. Szmul. Brzmi jak podmuch wiatru.

- Bruno - rzekł Szmul, wesoło kiwając głową. - Mnie twoje też się podoba. Brzmi jak pocieranie ramion dla rozgrzewki.

- Dotąd nie poznałem nikogo o imieniu Szmul - powiedział Bruno.

- Po tej stronie ogrodzenia są dziesiątki Szmulów - rzekł chłopczyk. - A może i setki.

- Bardzo bym chciał mieć imię tylko dla siebie.

- Nie znam nikogo o imieniu Bruno - stwierdził Bruno. - Znaczy: poza mną samym. Kto wie, czy nie tylko ja je noszę.

- No to szczęściarz z ciebie - rzekł Szmul.

- Pewno tak. Ile masz lat? - zapytał. Szmul w zadumie zaczął się przyglądać swym palcom, ruszając nimi w powietrzu, jakby dokonywał obliczenia.

- Dziewięć - odpowiedział. Urodziłem się piętnastego kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego.

Bruno aż się zdumiał.

- Coś powiedział?

- No, że urodziłem się piętnastego kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego.

Bruno wytrzeszczył oczy i rozwarł ustaw kształt literki "O".

- Nie wierzę - powiedział.

- Czemu? - zapytał Szmul.

- Nie chodzi mi o to - odparł Bruno, gwałtownie kręcąc głową że nie wierzę tobie.

- Tylko się dziwię, po prostu. Bo moje urodziny tak samo przypadają na piętnastego kwietnia. I też się urodziłem w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym. Czyli: przyszliśmy na świat w tym samym dniu.

Szumul się zadumał.

- Więc też masz dziewięć lat - stwierdził po chwili.

- Tak. Ale dziwne, co?

- Przedziwne - zgodził się Szmul. - Bo chociaż po tej stronie ogrodzenia są pewno dziesiątki Szmulów, to nie wydaje mi się, żebym choć raz miał do czynienia z kimś, kto się urodził tego dnia, co ja.

- Jesteśmy tak jakby bliźniakami - powiedział Bruno.

- Tak, trochę - przytaknął Szmul. Bruno poczuł niewysłowioną radość. Przywołany nagle obraz trzech najlepszych przyjaciół, Karla, Daniela i Martina, przypomniał mu, jak wspaniale było się z nimi bawić w Berlinie i zdał sobie sprawę, jak przeraźliwie samotny jest tu, w PoŚwieciu.

- Dużo masz przyjaciół? - zapytał Bruno, lekko przechylając głowę w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Mhm - odparł Szmul. - Tak jakby.

Bruno się nachmurzył, bo liczył, że Szmul odpowie, że wcale nie tak wielu, co by ich przecież zbliżyło jeszcze bardziej.

- Bliskich?

- Raczej nie za bardzo - odpowiedział Szmul. - Ale po tej stronie ogrodzenia jest nas wielu. Znaczący: chłopców w tym samym wieku. I dosyć często się kłócimy. Dlatego tu przyszedłem. Chciałem pobyć sam.

- Moim zdaniem to bardzo nieuczciwe - oświadczył Bruno. - Gdy ja tkwię po tej stronie ogrodzenia, gdzie w ogóle nie ma z kim pogadać ani się pobawić, ty masz dziesiątki przyjaciół i pewnie się codziennie bawicie godzinami. Muszę pomówić o tym z ojcem.

- A skąd przyjechałeś? - spytał Szmul, z zaciekawieniem spoglądając na Brunona spod przymkniętych powiek.

- Z Berlina.

- Gdzie to jest?

Bruno już otwierał usta, aby odpowiedzieć, lecz sobie uprzytomnił, że w sumie za bardzo nie wie.

- No, wiadomo, w Niemczech - odrzekł. - Ty nie jesteś z Niemiec?

- Nie, z Polski - odpowiedział Szmul.

Bruno zmarszczył brwi.

- To czemu mówisz po niemiecku? - zapytał.

- Bo ty się po niemiecku przywitałeś. Znasz polski?

- Nie - z nerwowym śmiechem odparł Bruno. - Nie znam nikogo, kto mówi dwoma językami. Zwłaszcza kogoś w naszym wieku.

- Mama jest w mojej szkole nauczycielką i nauczyła mnie niemieckiego - wyjaśnił Szmul. - Zna też i francuski, i włoski, i angielski. Taka jest mądra. Ja jeszcze nie znam francuskiego ani włoskiego, ale obiecała, że kiedyś mnie nauczy mówić po angielsku, bo mi się to może przydać.

- Polska - powiedział Bruno w zadumie, ważąc słowo. - To nie to, co Niemcy, prawda?

Szmul ściągnął brwi.

- Dlaczego?

- Bo przecież Niemcy to państwo najwspanialsze - odrzekł Bruno, bo mu się przypomniało zdanie, które ojciec w dyskusjach z dziadkiem powtarzał w nieskończoność. - Jesteśmy lepsi.

Szmul bez słowa spojrział na Brunona, który postanowił czym prędzej zmienić temat, bo już wypowiadając to zdanie, czuł, że brzmi ono jakoś niestosownie, a w żadnym wypadku nie chciał urazić Szmula.

- Gdzie właściwie leży Polska? - spytał, przerywając milczenie.

- W Europie.

Bruno usiłował sobie przypomnieć różne kraje, o jakich się dowiedział na ostatniej lekcji geografii z Herr Lisztem.

- A o Danii słyszałeś? - zapytał.

- Nie - odparł Szmul.

- Polska chyba leży w Danii - Bruno był coraz bardziej zakłopotany, choć tak starał się wyjść na osobę rezolutną. - Bo to straszliwie daleko - dodał, aby rzecz potwierdzić.

Szmul chwilkę mu się przyglądał, parę razy tak poruszając ustami, jakby sobie musiał rozważyć jego słowa.

- Przecież jesteśmy w Polsce - rzekł w końcu.

- Tak?

- Serio. A Dania leży daleko i od Polski, i od Niemiec.

Bruno znów ściągnął brwi. Bo chociaż miał pojęcie o tych różnych krajach, wciąż sobie ich nie potrafił uporządkować w głowie.

- No tak - przytaknął. - Ale to wszystko względne, no nie? Chodzi mi o odległości.

Marzył, by zakończyli wreszcie ten temat, bo nagle okazało się, że jest nieorientowany. Zaraz też postanowił, że na najbliższej lekcji geografii postara się bardzo

uważać.

- Nigdy nie byłem w Berlinie - powiedział Szmul.

- A ja do tej pory chyba nigdy w Polsce - stwierdził Bruno zgodnie z prawdą. - Ma się rozumieć, jeżeli to naprawdę Polska.

- Na sto procent - rzekł cicho Szmul. - Chociaż tutaj akurat nie jest za przyjemnie.

- Mhm.

- Tam, skąd pochodzę, jest o wiele przyjemniej.

- Na pewno nie tak jak w Berlinie - oświadczył Bruno. - W Berlinie mieliśmy duży dom, trzypiętrowy, z piwnicą i pokoikiem z oknem na poddaszu. Do tego były tam prześliczne ulice, sklepy, stragany z owocami i warzywami, i tyle kawiarni, że szkoda słów. Ale gdybyś tam się wybrał, to nie radzę chodzić po mieście w sobotnie popołudnie, bo tłum jest wtedy taki, że bez przerwy się trzeba przepychać. Choć nim zaszły zmiany, było jeszcze lepiej.

- Jak to? - zapytał Szmul.

- Było bardzo cicho - wytłumaczył Bruno, który zawsze o tych zmianach mówił z wielką niechęcią. - I wieczorami mogłem sobie czytać w łóżku. A teraz często robi się hałas i w ogóle bywa strasznie, tak że kiedy się ściemnia, musimy gasić światło.

- U mnie w domu jest o wiele przyjemniej - powiedział Szmul, który nigdy nie był w Berlinie. - Wszyscy są przemili, mam liczną rodzinę, no i to, co jemy, jest o wiele smaczniejsze.

- To się trzeba będzie zgodzić, że każdy z nas ma inne zdanie - podsumował Bruno, bo nie miał zamiaru kłócić się z nowym kolegą.

- Dobrze - przytaknął Szmul.

- Lubisz poszukiwać? - spytał Bruno po chwili.

- Właściwie to jeszcze nie poszukiwałem - wyznał Szmul.

- Jak dorosnę, zostanę odkrywcą. Na razie mogę tylko o odkrywcach czytać, ale za to gdy już zostanę jednym z nich, nie będę popełniał różnych błędów, które oni popełniają.

Szmul się zdumiał.

- Jakich błędów?

- Nooo, niezliczonych - wyjaśnił Bruno. - Bo w odkrywaniu powinno się wiedzieć, czy to, co się znajduje, jest w ogóle warte szukania. Pewne rzeczy po prostu są i jakby nigdy nic czekają, aż się je odkryje. Na przykład Ameryka. A inne lepiej zostawić w spokoju. Na przykład: zdechła mysz na dnie kredensu.

- To ja chyba należę do tej pierwszej kategorii - powiedział Szmul.

- Tak - przytaknął Bruno. - Tak mi się wydaje. - Mogę o coś spytać? - dodał po chwili.

- Pytaj.

Bruno musiał się zastanowić, aby odpowiednio sformułować pytanie.

- Czemu po twojej stronie ogrodzenia jest aż tylu ludzi? - zapytał. I co właściwie tam robicie?

## Furia

Działo się to kilka miesięcy wcześniej, kiedy ojciec dostał nowy mundur i wszyscy musieli się do niego odtąd zwracać per "komendancie", a Bruno natknął się w pokoju na Marię, która mu pakowała rzeczy.

Otóż pewnego wieczoru ojciec wrócił wielce poruszony, co zupełnie do niego niepodobne, i wkroczył do salonu, gdzie matka z Brunonem i Gretel siedzieli zajęci lekturą.

- Czwartek wieczór - oznajmił. - Jeśli coś planujemy na czwartkowy wieczór, wszystko trzeba będzie odwołać.

- Możesz sobie zmieniać, co ci się podoba - odparła matka. - Ale ja idę do teatru z...

- Furia chce ze mną coś omówić - wyjaśnił ojciec, któremu w przeciwieństwie do innych wolno było jej przerywać. - Dzwonili dziś po południu. Może przyjść tylko w czwartek wieczór, więc się do nas wprosił na kolację.

Matka wytrzeszczyła oczy i ułożyła usta w kształt literki "O". Zerknąwszy na nią, Bruno zaczął się zastanawiać, czy on sam tak właśnie wygląda, gdy go coś wprawi w zdumienie.

- Nie żartuj - pobladła. - Tu chce przyjść? Do domu?

Ojciec kiwnął głową.

- O siódmej. Powinniśmy podać coś wyjątkowego.

- Aaach - zamrugła oczami w panice, ile to ją teraz czeka roboty.

- Kim jest Furia? - zapytał Bruno.

- Źle to wymawiasz - rzekł ojciec, natychmiast wymawiając jak należy.

- Furia - powtórzył Bruno, lecz choć bardzo się starał, znów niewłaściwie.

- Nie tak - zniecierpliwiał się ojciec. - F...A zresztą nieważne!

- No a co to za jeden? - spytał znowu Bruno.

Ojciec spojrzał na niego zaskoczony.

- Wiesz doskonale, kim jest Furia - odrzekł.

- Wcale nie - stwierdził Bruno.

- Rządzi państwem, bałwanie. - Gretel chciała się popisać, jak to siostry. (Właśnie w takich razach wychodziła cała Beznadziejność jej Przypadku). Nie czytujesz gazet?

- Proszę, żebyś w ten sposób nie zwracała się do brata - upomniała ją matka.

- A głupkiem mogę go nazywać?

- Nie ma mowy.

Zawiedziona Gretel uspokoiła się wprawdzie, ale za to pokazała mu język.

- Przyjdzie sam? - zapytała matka.

- Zapomniałem spytać - odparł ojciec. - Ale chyba ją też przyprowadzi.

- Aaach - znów westchnęła matka, oceniając w myśli, ile to ją czeka przygotowań do kolacji, która ma się przecież odbyć już za dwa dni: gruntowne sprzątnięcie domu, mycie okien, bejcowanie i lakierowanie stołu w jadalni, zamawianie potraw, pranie i prasowanie uniformów pokojówki i kamerdynera oraz czyszczenie szkieł i zastawy na wysoki połysk.

Tych zajęć najwidoczniej przybywało z każdą chwilą, lecz matce jakimś cudem udało się ze wszystkim uporać na czas choć też bez końca powtarzała, że wieczór byłby udany znacznie bardziej, gdyby pewne osoby zechciały trochę pomóc w domu.

Godzinę przed wyznaczoną porą przybycia Furii Gretel z Brunonem zostali wezwani na dół i, co się zdarzało bardzo rzadko, zaproszeni do gabinetu ojca. Gretel miała na sobie białą sukienkę i podkolanówki, a włosy zakręcone w loczki. Bruno był ubrany w ciemnobrązowe krótkie spodnie i prostą białą koszulę z ciemnobrązowym krawatem.

Specjalnie z tej okazji dostał nowe buty, z których był bardzo dumny, choć okazały się za ciasne i trudno się w nich chodziło. Skądinąd te odświętne stroje trzeba by uznać za zbytek, bo Bruno z Gretel zjedli już przed godziną i wcale nie mieli być obecni na przyjęciu.

- Dzieci - zwrócił się do nich ojciec, siadając za biurkiem i spoglądając raz na jedno, raz na drugie. - Wiecie, że czeka nas dzisiaj wieczór bardzo szczególny, prawda?

Przytaknęli.

- I że się powinien udać, bo od tego zależy moja kariera.

Przytaknęli znowu.

- Wpierw jednak musicie się zaznajomić z pewnymi podstawowymi zasadami.

Ojciec był wielkim entuzjastą podstawowych reguł, tak że gdy tylko w domu szykowało się coś szczególnie ważnego wymyślał coraz to nowe.

- Po pierwsze - ciągnął ojciec kiedy przyjdzie Furia, macie bez słowa stanąć w holu, gotowi na powitanie. Nie wolno się odzywać, póki do was nie przemówi. Wtedy należy mu odpowiedzieć jak najstaranniej i wyraźnie. Zrozumiano?

- Tak, ojcie - wymamrotał Bruno.

- O właśnie: w taki sposób to absolutnie niedopuszczalne - rzekł ojciec, mając na myśli mamrotanie. Trzeba otwierać usta i mówić jak dorośli. Pod żadnym pozorem nie możecie zachowywać się jak dzieci. Jeśli Furia was zlekceważy, to tak samo macie milczeć, powinniście jednak patrzeć przed siebie i okazać mu szacunek oraz grzeczność należne wielkiemu przywódcy.

- Naturalnie, ojcie bardzo wyraźnie - powiedziała Gretel.



- A kiedy ja i matka będziemy spożywać z Furią kolację, macie siedzieć w swoich pokojach cicho jak mysz pod miotłą. Nie ma mowy o gonitwie czy zjeżdżaniu po poręczy. - Tu ojciec znacząco spojrział na Brunona. - W ogóle nie wolno nam przeszkadzać. Żadnych brewerii. Dotyczy to was obojga. Jasne?

Bruno z Gretel przytaknęli, a ojciec wstał, dając im do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca.

- Podstawowe zasady mamy więc ustalone - obwieścił.

Gdy trzy kwadranse później zadzwonił dzwonek, wszystkich ogarnęło straszne podniecenie. Bruno z Gretel ustawili się razem przy schodach, a tuż obok matka, załamując ręce. Zerknąwszy po raz ostatni na rodzinę, ojciec wyraźnie zadowolony kiwnął głową, po czym otworzył drzwi.

W progu stanęły dwie osoby: niewysoki pan i wyższa od niego pani.

Ojciec zasalutował i wprowadził gości, a Maria, z głową spuszczoną jeszcze niżej niż zwykle, prędko wzięła od nich płaszcze. Nastąpiła prezentacja. Wpierw rozmawiali z matką, dzięki czemu Bruno mógł im się dobrze przyjrzeć i zbadać, czy zasługują na ten cały cyrk.

Furia był od ojca znacznie niższy i, jak się chłopcu wydawało, pewno znacznie słabszy. Miał krótko ostrzyżone ciemne włosy i wąsik ledwie dostrzegalny, tak że Bruno zastanawiał się, czy to jakaś fanaberia, czy może kawałek zostawiony przez nieuwagę przy goleniu. Za to jego towarzyszka była chyba najpiękniejsza z wszystkich pań, jakie widział w życiu. Miała jasne włosy i karminowe usta, a kiedy Furia gawędził z matką, spojrzała na Brunona z uśmiechem, aż się, zmieszany, zaczerwienił.

- A to moje dzieci - rzekł ojciec, a Gretel z Brunonem wystąpili naprzód. - Gretel i Bruno.

- Które jest które? - spytał Furia, co rozbawiło wszystkich z wyjątkiem Brunona, dla którego było to rzeczą oczywistą i ani trochę śmieszną.

Furia uściskał im dłonie. Gretel chciała dygnąć, lecz mimo że ćwiczyła sobie ten ukłon do znudzenia ku radości Brunona o mało się nie wywróciła.

- Urocze dzieci - powiedziała piękna blondynka. - A wolno spytać, w jakim wieku?

- Ja mam lat dwanaście, a on dopiero dziewięć - odrzekła Gretel, pogardliwie patrząc na Brunona. - I znam francuski - dodała, nie całkiem zgodnie z prawdą, choć w szkole zdążyła się nauczyć kilku zwrotów.

- Ach tak, ciekawym, po co? - zapytał Furia, ale teraz nikt się nie roześmiał, tylko wszyscy zaczęli niepewnie przestępować z nogi na nogę, a Gretel wybałuszyła oczy, nie wiedząc, czy powinna mu coś na to odpowiedzieć.

Problem jednak został rozwiązany w pół sekundy, bo Furia wychowany najgorzej ze wszystkich znanych Brunonowi gości odwrócił się na pięcie i ruszył prosto do jadalni, bez żadnych ceregieli zajmując przy stole miejsce główne, czyli przypisane ojcu! Podenerwowani rodzice szybko poszli za nim. Matka dała prędko znak Larsowi, żeby nastawił zupę.

- Też znam francuski pochylając się z uśmiechem do dzieci, oznajmiła prześliczna blondynka. Widocznie nie bała się Furii tak jak matka z ojcem. To piękny język, więc ci się to chwali.

- Ewo! - wrzasnął z jadalni Furia, strzelając na nią palcami, jak na jakiegoś pieska.

Pani wzniosła oczy ku niebu i wyprostowała się.

- Ładne masz buty, Bruno, tylko chyba trochę ciasne - rzekła z uśmiechem. - Może by więc warto powiedzieć o tym mamie, abyś przypadkiem nie poobcierał stóp.

- Faktycznie są trochę ciasne - przyznał Bruno.

- Na co dzień nie kręcę włosów - wtrąciła Gretel, zazdrosna, że tyle uwagi poświęcono bratu.

- A to dlaczego? - zdziwiła się blondynka. - Tak ci ślicznie w lokach.

- Ewa! - znowu ryknął Furia i teraz już go usłuchała.

- Bardzo mi miło was poznać. - Z tymi słowami weszła do jadalni i usiadła przy stole po lewej stronie Furii.

Gretel skierowała się ku schodom, a Bruno w bezruchu, jakby go wbiło w ziemię, patrzył za blondynką, aż się obróciła i pomachała mu. Niemal w tej samej chwili zjawił się ojciec i zamknął drzwi, tak kiwając głową, że Bruno się zorientował, iż czas najwyższy wracać do pokoju, siedzieć tam jak mysz pod miotłą; nie hałasować i oczywiście nie zjeżdżać po poręczy.

Furia z Ewą zabawili na kolacji prawie dwie godziny, lecz żadne z dzieci nie poproszono na dół, aby się z nimi pożegnały. Patrząc przez okno, jak wychodzą, Bruno spostrzegł, że kiedy się zbliżyli do samochodu, którym (rzecz niebywała) kierował najprawdziwszy szofer, Furia nie otworzył drzwiczek przyjaciółce, tylko od razu wskoczył do środka i zaczął czytać gazetę, a ona raz jeszcze pożegnała się z matką i podziękowała za wyborny poczęstunek.

- Ależ on okropny - pomyślał Bruno.

Pod wieczór Brunonowi udało się podsłuchać strzępy rozmowy matki z ojcem.

Co chwila to czy tamto przelatywało przez dziurkę od klucza albo szparę między progiem a drzwiami gabinetu i szybując ponad schodami i półpiętrzem, wpadało do jego pokoju.

Oboje mówili znacznie głośniej niż zwykle, ale chłopcu udało się z tego zrozumieć bardzo niewiele:

-...wyjazd z Berlina. I to jeszcze w takie miejsce. - powiedziała matka.

-...nie ma wyboru, a już na pewno, jeśli chcemy dalej... - odrzekł ojciec.

-...jakby to było rzeczą całkiem naturalną, a nie jest, zdecydowanie nie jest. - To matka.

-...pewnie by mnie wywieźli i potraktowali jak... - Ojciec.

-...żeby dorastały w takim... - Matka.

-...koniec dyskusji. Nie życzę sobie, abyśmy wracali do tematu! - krzyknął ojciec.

I chyba na tym rozmowę zakończyli, bo matka zaraz wyszła z gabinetu ojca, a Bruno zapadł w sen.

Parę dni później, wróciwszy ze szkoły, zastał u siebie Marię, jak wyciągała z szafy wszystkie jego ubrania, pakując je do czterech drewnianych skrzyń; wyjęła nawet pochowane skarby, których przecież nikt nie miał prawa ruszać no i tak się to zaczęło.

## Szum się zastanawia, co odpowiedzieć Brunonowi

Powiem ci tylko tyle - zaczął Szmul, że do przyjazdu tutaj mieszkałem z rodzicami i z moim bratem Józefem w niedużym mieszkaniu nad warsztatem, gdzie tata robił zegarki. Co rano o siódmej jedliśmy wspólnie śniadanie, a później, gdy byliśmy w szkole, tata reperował zegarki, które przynosili różni ludzie, i robił też całkiem nowe. Raz mi podarował taki przepiękny zegarek, ale go straciłem. Miał złoty cyferblat i nakręcałem go co wieczór przed pójściem spać, i nigdy, ale to nigdy się nie spóźniał.

- Co się z nim stało? - spytał Bruno.

- Odebrali - odpowiedział Szmul.

- Kto?

- Wiadomo, żołnierze - odparł Szmul takim tonem, jakby to było jasne jak słońce. - Aż nagle wszystko się zaczęło zmieniać - podjął swą opowieść. - Któregoś dnia wróciłem ze szkoły, a mama szła dla nas opaski na ramię z takiego specjalnego materiału i na każdej rysowała gwiazdę. O, taką. - Palcem kreślił wzór na ziemi pokrytej pyłem. - I zawsze, jak się wychodziło z domu, upominała, żebyśmy je zakładali.

- Ojciec też nosi opaskę - powiedział Bruno. - Na mundurze. Bardzo fajna. Jaskrawoczerwona z czarnobiałym znakiem. - I też po swej stronie ogrodzenia wykonał palcem rysunek na ziemi pokrytej pyłem.

- Ale się różnią, prawda? - rzekł Szmul.

- W życiu nie dostałem opaski - stwierdził Bruno.

- Ale ja wcale o nią nie prosiłem - odpowiedział Szmul.

- Tak czy siak - odparł Bruno - mnie by się przydała. Choć nie wiem, czy wolę twoją, czy ojca.

Pokręciwszy głową, Szmul opowiadał dalej. Nieczęsto wracał do przeszłości, bo na wspomnienie życia nad warsztatem zegarmistrzowskim zawsze robiło mu się bardzo smutno.

Te opaski nosiliśmy kilka miesięcy. I potem znów nastąpiły zmiany. Gdy raz wróciłem do domu, mama powiedziała, że już nie możemy tam mieszkać.

- I mnie się to zdarzyło! - zawołał Bruno, uradowany, że nie tylko jego zmuszono do przeprowadzki. - Bo, widzisz, na kolację przyszedł Furia i prawie że zaraz tu się przenieśliśmy. A tu jest koszmarnie - dodał na cały głos. - U was był tak samo?

- Nie, ale jak nam oznajmili, że nie wolno zostać w domu, musieliśmy się przeprowadzić do innej dzielnicy Krakowa, gdzie żołnierze zbudowali wysoki mur, i wszyscy, mama z tatą, brat i ja, musieliśmy zamieszkać w jednym pokoju.

- Jak to? - zdumiał się Bruno. - Wszyscy?

- I to nie tylko my - odpowiedział Szmul. - Bo sprowadziła się druga rodzina, no i tamci rodzice bez przerwy się kłócili, a jeden z synów był ode mnie większy i ciągle mnie tłukł, wiesz, tak bez powodu.

- Ale przecież nie można mieszkać w takim tłoku - stwierdził Bruno, kręcąc głową. - Bez sensu!

- Naprawdę - przytaknął Szmul. - W sumie jedenaście osób.

Bruno otworzył usta, by znowu zaprzeczyć, bo nie chciało mu się wierzyć, by pod jednym dachem zmieściło się aż tyle ludzi, ale się rozmyślił.

- Mieszkaliśmy tam jeszcze kilka miesięcy - kontynuował Szmul. - I dalej wszyscy w tym pokoju. Mieliśmy jedno okienko, ale nie lubiłem przez nie patrzeć, bo widziało się mur, a mnie ten mur strasznie drażnił, bo nasz prawdziwy dom stał po drugiej stronie. Dzielnica też była okropna, bo stale ktoś hałasował, tak że się nie dało zmrużyć oka. I na dodatek bez powodu bił mnie ten wstrętny Łukasz.

- Mnie czasem bije Gretel - wyznał Bruno. - Moja siostra - dodał. - Beznadziejny Przypadek. Ale niedługo dorosnę i będę silniejszy, a wtedy jej pokażę.

- Aż pewnego dnia wielkimi ciężarówkami przyjechali żołnierze - snuł opowieść Szmul, bo widać Gretel niezbyt go zaciekała. - I kazali wszystkim opuścić domy. Dużo osób nie chciało i pochowało się w różnych zakamarkach, ale w końcu i tak chyba wszyscy zostali wylapani. I te ciężarówki powiozły nas na pociąg, w którym... - zawahał się na moment, przygryzając wargi, na co Bruno pomyślał, że nie wie, czemu ma zamiar się rozpłakać.

- W pociągu było makabrycznie - podjął Szmul. - Choćby przez to, że w wagonach panował straszny ścisk. W ogóle nie dało się oddychać. Do tego paskudnie śmierdziało.

- Bo wszyscy wstawiali się do jednego pociągu - stwierdził Bruno, wspominając dwa pociągi, które widział na dworcu, gdy wyjeżdżali z Berlina. Jak my tu jechaliśmy, po przeciwnej stronie peronu stał drugi, ale tak jakby nikt go nie zauważał. I myśmy wsiedli do niego. A wy czemu nie?

- Chyba by nam nie pozwolili. Nikomu nie było wolno wyjść z wagonu.

- Na samym końcu są drzwi - odpowiedział Bruno.

- U nas nie było - odparł Szmul.

- Jasne, że są - rzekł z westchnieniem Bruno. - Na samym końcu - powtórzył. - Zaraz za wagonem restauracyjnym.

- Ależ skąd - uparł się Szmul. - Przecież byśmy wysiedli!

Bruno odburknął coś w stylu "akurat", ale tak cichutko, żeby Szmul nie usłyszał.

- Gdy wreszcie pociąg się zatrzymał - ciągnął Szmul znaleźliśmy się w okropnie zimnym miejscu i wszyscy musieliśmy iść tu na piechotę.

- A myśmy mieli samochód - rzekł Bruno, już na głos.

- I zabrali mamę, a mnie z tatą i Józefem wsadzili do tych domków, i tak tam siedzimy.

Szmul wyraźnie posmutniał, a Bruno nie rozumiał, dlaczego, bo jakby się zastanowić, nie było to aż takie straszne i właściwie to samo, co się przytrafiło jemu.

- Dużo tam mieszka chłopców? - spytał Bruno.

- Setki - odpowiedział Szmul.

Bruno wytrzeszczył oczy.

- Setki? - powtórzył zaskoczony. - Kto to widział? Po tej stronie ogrodzenia w ogóle nie ma się z kim bawić.

- My się nie bawimy - oświadczył Szmul.

- Nie bawicie się? A to niby czemu?

- Ciekawe, w co? - Szmul wyraźnie się zmieszał.

- No, nie wiem - odrzekł Bruno. - Można pograć w piłkę. Czy bawić się w odkrywców.

- A tak w ogóle to da się tam coś odkryć?

Szmul pokręcił głową i nic nie odpowiedział. Zerknąwszy w stronę domków, znów prędko spojrzął na Brunona i choć wcale nie chciał o to pytać, to w końcu się poddał, bo żołądek skręcał mu się z bólu:

- Miałbyś może coś do jedzenia?

- Niestety - odpowiedział Bruno. - Miałem wziąć czekoladę, ale zapomniałem.

- Czekolada - mlaskając językiem, powtórzył wolno Szmul. - Raz w życiu jadłem czekoladę.

- Tylko raz? Uwielbiam czekoladę. Choć mama mówi, że od czekolady psują się zęby, mógłbym ją jeść stale.

- Chleba pewno też nie masz.

Bruno pokręcił głową.

- Nic nie wziąłem - odparł. - Kolację podają dopiero pół do siódmej. A u was?

Szmul wzruszył ramionami i się podniósł.

- Muszę już wracać powiedział.

- Może byś do nas kiedyś wstąpił na kolację - zaproponował Bruno, choć nie do końca

pewny, czy to dobry pomysł.

- Może - odparł Szmul, jakoś bez przekonania.

- Albo ja cię odwiedzę - rzekł Bruno. - Poznałbym twoich przyjaciół - dodał z nadzieją.

Liczył, że Szmul go sam zaprosi, lecz nic na to nie wskazywało.

- Mieszkasz po złej stronie ogrodzenia - powiedział tylko Szmul.

- Mógłbym się tu prześliznąć - odrzekł Bruno, unosząc drucianą siatkę.

W samym środku, między drewnianymi słupami, dało się ją odchylić bez trudu i drobny chłopiec z łatwością przeszedłby na drugą stronę.

Patrząc, co robi Bruno, Szmul cofnął się z niepokojem.

- Muszę wracać - powtórzył.

- No to na razie. Nie wolno mi tu siedzieć. Jakby mnie złapali, dopiero bym miał za swoje.

I poszedł sobie a Bruno znów zauważył, jak malutki i chudy jest jego nowy przyjaciel.

W ogóle nie wspomniał o tym słowem, bo doskonale wiedział, jaką przykrość sprawiają krytyczne uwagi na temat czegoś tak banalnego jak wzrost, a przecież nie chciałby dotknąć Szmula.

- Wrócę jutro! - krzyknął za chłopcem, lecz ten nie odpowiedział, tylko pędem pobiegł w stronę domków.

Gdy Bruno został sam, stwierdził, że jak na jeden dzień starczy już tego odkrywania, i ogromnie podniecony ruszył do domu, nie mogąc się już doczekać, kiedy opowie wszystko rodzicom i Gretel, a ona z zazdrości chyba pęknie oraz Marii, kucharce i Larsowi. Miała to być opowieść o przygodzie, która go spotkała po południu, i o nowym przyjacielu, co ma takie śmieszne imię, i że obchodzą urodziny tego samego dnia, lecz w miarę jak zbliżał się do domu, zaczęły go ogarniać rozmaite wątpliwości.

Bo może - przemyślał - wcale się nie zgodzą, żebyśmy dalej byli przyjaciółmi, a wtedy przecież mogą mi zakazać wychodzenia z domu.

Gdy wreszcie stanął w progu i poczuł ulatujący z piekarnika zapach wołowej pieczeni na kolację, powziął decyzję, że na razie lepiej będzie zachować całą rzecz dla siebie i nie wspominać o niej choćby słówkiem. Miała to być jego tajemnica. Jego i Szmula.

Bruno wyznawał pogląd, że jeśli chodzi o rodziców, a zwłaszcza siostrę czego uszy nie słyszą, tego sercu nie żal.

## Butelka wina

Mijał tydzień za tygodniem i do Brunona powoli zaczęło docierać, że w najbliższej przyszłości nie wróci do przytulnego berlińskiego domu oraz że na razie może sobie wybić z głowy jazdę po poręczy i spotkania z Karlem, Danielem czy Martinem.

Ale też pomału zaczął się przyzwyczajać do pobytu w PoŚwieciu i już mu nie było tak okropnie smutno jak na początku. Bo przecież się okazało, że jednak ma z kim pogadać.

Co dzień po południu, po skończonych lekcjach, wędrował wzdłuż ogrodzenia, siedał i ile się dało gawędził ze swym nowym kolegą Szmulem, więc tęsknota za Berlinem coraz mniej mu doskwierała.

Pewnego dnia, gdy przed wyjściem napełniał kieszenie chlebem i wyjętym z lodówki serem, nagle zjawiała się Maria, którą ten widok, zdaje się, nieco zdziwił.

- Cześć - jakby nigdy nic rzekł Bruno. - Aleś mnie nastraszyła. W ogóle cię nie słyszałem.

- Chyba nie masz zamiaru znowu jeść? - z uśmiechem spytała Maria. - Dopiero co był obiad, a ty znowu głodny?

- Troszeczkę - odpowiedział Bruno. - Wybieram się na spacer, więc biorę coś na drogę, tak na wszelki wypadek.

Maria wzruszyła ramionami i podeszła do kuchenki, żeby nastawić wodę na zupę.

Obok na stole piętrzyły się kartofle i marchewka, które Paweł miał jak zwykle obrać.

Bruno jużżuż szykował się do wyjścia, gdy raptem, na widok warzyw, przypomniało mu się pytanie, które dręczyło go od dłuższego czasu. Do tej pory jakoś nie było kogo spytać, aż wreszcie nadarzyła się wprost kapitalna okazja:

- Mario, mógłbym o coś zapytać?

Pokojówka obróciła się i popatrzyła na niego zaskoczona.

- Naturalnie, paniczku - odparła.

- I jak cię zapytam, to obiecasz nikomu nie wygadać?

Maria podejrzliwie zmrużyła oczy, ale przytaknęła.

- No dobrze - odpowiedziała. - A co byś chciał wiedzieć?

- Chodzi o Pawła - odrzekł Bruno. - Znasz go, prawda? Tego, który przychodzi obrać kartofle i później podaje do stołu.

- Pewnie, że tak - odpowiedziała z uśmiechem Maria, wyraźnie ucieszona, że pytanie nie dotyczy jakiejś poważniejszej sprawy. Nieraz sobie rozmawiamy. A czemu pytasz?

- Hmmm - Bruno postanowił jak najlepiej dobrać słowa, aby przez przypadek nie



palnąć czegoś bez sensu. - Pamiętasz, jak zaraz po przyjeździe zrobiłem huśtawkę, spadłem i rozciąłem sobie kolano?

- Owszem - przytaknęła Maria. - Ale chyba cię już nie boli, co?

- Nie, nie - zapewnił Bruno. - Ale gdy się zraniłem, w domu nie było nikogo z dorosłych, no i on mnie tu przyniósł, oczyścił i przemył ranę takim brunatnym płynem, od którego piekło, ale też się zaraz polepszyło, a później mi założył opatrunek.

- Każdy by przecież tak pomógł rannemu - stwierdziła Maria.

- Wiem - ciągnął chłopiec. - Tylko że potem mi powiedział, że wcale nie jest służącym.

Maria na sekundę zastygła w bezruchu i zamiast coś odpowiedzieć, odwróciwszy głowę, oblizwała wargi.

- Mhm - skinęła głową. - A niby kim?

- Lekarzem - odpowiedział Bruno. - A mnie to jakoś nie pasuje. Nie jest lekarzem, prawda?

- Skądże - stanowczo zaprzeczyła Maria. - Nic podobnego. Paweł jest służącym.

- Wiedziałem - rzekł Bruno, bardzo zadowolony z siebie. - Ale dlaczego mnie okłamał?

- Przecież to nie ma sensu.

- Już nie jest lekarzem, Bruno - wyszeptła Maria. - Ale był. W poprzednim istnieniu. Zanim trafił tutaj.

Bruno w zadumie zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem - odpowiedział.

- Mało kto rozumie - oświadczyła Maria.

- Skoro więc był lekarzem, to czemu dalej nie jest?

Westchnąwszy, Maria wyglądnęła przez okno, by sprawdzić, czy nikt nie nadchodzi, i kiwnęła głową na znak, że powinni usiąść.

- Powiem ci, co mi o sobie opowiedział Paweł - zaczęła. - Ale pod żadnym pozorem nikomu nie wolno ci o tym wspominać. Rozumiesz? Bo napytasz biedy i mnie, i sobie również.

- W życiu nic nie wygadam - odparł Bruno, który uwielbiał tajemnice i nie zdradzał ich prawie nigdy, chyba że, naturalnie, było to bezwzględnie konieczne i już inaczej się nie dało.

- Dobrze - zgodziła się Maria. - Więc posłuchaj.

Bruno przyszedł spóźniony w to miejsce przy ogrodzeniu, gdzie się co dnia spotykał

ze Szmulem ale on i tak tam czekał, siedząc po turecku, jak zwykle.

- Przepraszam, że się spóźniłem - rzekł Bruno i podał mu przez siatkę trochę chleba z serem; niewiele, bo po drodze zgłodniał i musiał coś przegryźć. - Rozmawiałem z Marią.

- Kim jest Maria? - spytał Szmul, pochłaniając chleb i ser tak łączywie, że nawet nie spojrzał na Brunona.

- To nasza pokojówka - wyjaśnił Bruno. - Przemiała, choć według ojca zarabia stanowczo za dużo. Opowiadała mi o takim jednym Pawle, co u nas obiera warzywa i podaje do stołu. Sądzę, że on mieszka po twojej stronie ogrodzenia.

Szmul przerwał jedzenie i zerknął na Brunona.

- Po mojej? - zapytał.

- Tak. Znasz go? Jest bardzo stary i ma białą marynarkę, którą zakłada, jak podaje kolację. Pewno go widzisz.

- Nie - zaprzeczył Szmul. - Ja go nie znam.

- Niemożliwe! - rzekł gniewnie Bruno, myśląc, że Szmul próbuje go rozdrażnić. - Jest odrobinę niższy od innych dorosłych, ma siwe włosy i trochę się garbi.

- Ty chyba nie masz pojęcia, ile po tej stronie ogrodzenia mieszka ludzi - odpowiedział Szmul. - Po prostu tysiące.

- Ale ten ma na imię Paweł - obstawał przy swoim Bruno. - Jak zleciałem z huśtawki, oczyścił mi ranę, żeby nie zrobiło się zakażenie, i założył mi opatrunek. A tak w ogóle to chciałem ci o nim opowiedzieć, bo też jest z Polski. Jak ty.

- My tu prawie wszyscy jesteśmy z Polski - odparł Szmul. - Ale z innych państw tak samo, choćby z Czechosłowacji.

- Aha. Dlatego też mi się wydawało, że go pewnie znasz. No, w każdym razie najpierw był lekarzem w swym miasteczku, a później trafił tutaj, ale nie wolno mu już być lekarzem i gdyby ojciec wiedział, że właśnie on mi oczyścił kolano, kiedy się zraniłem, to byłby wielki ambaras.

- Żołnierze nie są zachwyceni, jak się komuś polepsza - oznajmił Szmul, przełykając ostatni kęs chleba. - Raczej na odwrót.

Niezupełnie pojmując, o co chodzi Szmulowi, Bruno przytaknął ze wzrokiem wbitym w niebo. Po chwili spojrzał przez siatkę i zadał kolejne pytanie, które go gnębiło od dłuższego czasu:

- Już wiesz, kim byś chciał zostać, jak dorośniesz?

- Tak - odpowiedział Szmul. - Chcę pracować w zoo.

- W zoo? - zdziwił się Bruno.

- Lubię zwierzęta - przyznał cicho Szmul.

- Ja zostanę żołnierzem - oświadczył stanowczo Bruno. - Jak ojciec.

- Nie chciałbym być żołnierzem - odparł Szmul.

- Ale nie takim jak porucznik Kotler - szybko dodał Bruno. - Nie takim, co by się panoszył po domu, jak u siebie, żartował z siostrą i poszeptywał z mamą. Według mnie, żaden z niego żołnierz. Mam na myśli takiego jak ojciec, czyli porządnego.

- Porządni żołnierze nie istnieją - powiedział Szmul.

- Jasne, że istnieją - stwierdził Bruno.

- Na przykład?

- Chociaż by ojciec - odrzekł Bruno. - Dlatego ma taki fantastyczny mundur i dlatego wszyscy mówią do niego "komendancie", i robią, co tylko każe. Przez to, że jest taki porządny, Furia wiąże z nim ogromne nadzieje.

- Nie ma porządných żołnierzy - uparł się Szmul.

- Z wyjątkiem ojca - powtórzył Bruno w nadziei, że Szmul się zgodzi, bo nie miał ochoty z nim się kłócić.

W prawdzie tutaj, w PoŚwieciu, Szmul był jego jedynym przyjacielem, ale ojciec to ojciec i nikt nie powinien źle się o nim wyrażać.

Chłopcy milczeli parę minut, by przypadkiem nie powiedzieć czegoś, czego by się potem żałowało.

- Nie wiesz, jak tu jest - rzekł w końcu Szmul tak cicho, że Bruno ledwo go mógł dosłyszeć.

Nie masz siostry, prawda? - prędko spytał Bruno, udając, że słowa Szmula do niego nie dotarły.

- Nie - odparł, kręcąc głową, Szmul.

- Szczęściarz z ciebie, Gretel ma dopiero dwanaście lat, a myśli, że zjadła wszystkie rozumy, choć tak naprawdę to Beznadziejny Przypadek. Bez przerwy gapi się przez okno, a na widok porucznika Kotlera zaraz leci na dół, na korytarz, i udaje, że była tam przez cały czas. Raz ją na tym przyłapałem, bo gdy się pojawił Kotler, aż podskoczyła i powiedziała: „Ach, nie zauważyłam pana, poruczniku”, a przecież wiadomo, że się na niego przyczaiła.

Opowiadając, Bruno nie patrzył na Szmula, gdy jednak na niego spojrział, stwierdził, że przyjaciel zrobił się jeszcze bleśny niż zwykle.

- Coś nie tak? - zapytał. - Wyglądasz, jakbyś miał zwymiotować.

- Nie lubię o nim mówić - odparł Szmul.

- O kim? - spytał Bruno.

- O poruczniku Kotlerze. Boję się go.

- Ja troszkę też - wyznał Bruno. - Lubi się znęcać nad słabszymi. I dziwnie pachnie. Od tej wody kolońskiej.

Szum zaczął się trząść, więc Bruno rozejrzał się wokół, jakby sprawdzając, czy faktycznie jest chłodno.

- Co się stało? - zapytał. - Chyba nie zmarłeś? Trzeba było wziąć sweter. Pod wieczór zrobi się naprawdę zimno.

Wieczorem tego dnia okazało się, niestety, że na kolację został zaproszony porucznik Kotler. Paweł jak zwykle miał na sobie białą marynarkę i podawał do stołu.

Patrząc, jak Paweł uwija się przy stole, Bruno czuł coraz większe przygnębienie.

Był ciekaw, czy ten biały strój, który nosi teraz, jako służący, zakładał tak samo dawniej jako lekarz. Paweł wnosił talerze i podawał wszystkim, a kiedy jedli i gawędzili, wycofywał się pod ścianę, zastygając w bezruchu, jak uśpiony, tyle że z otwartymi oczami.

Choć Paweł każdego i zawsze obsługiwał w okamgnieniu, to Brunonowi już jakiś czas temu zaczęło się wydawać, że w powietrzu wisi coś niedobrego, bo z tygodnia na tydzień jakoś tak się dziwnie kurczył, a na dodatek jego twarz prawie całkiem straciła kolor. Oczy miał tak potwornie zażawione, że pewno gdyby raz mrugnął, buchnęłaby z nich wielka struga.

Gdy Paweł podchodził do stołu z talerzami, Bruno spostrzegł, że od wysiłku lekko drżą mu ręce. A cofając się pod ścianę, tak się zataczał, że aby utrzymać równowagę, musiał się tej ściany przytrzymywać. Matkę, kiedy poprosiła o dolanie zupy, usłyszał dopiero za drugim razem, a ojcu, gdy wypił wino, nie otwarł na czas nowej butelki.

- Herr Liszt nie pozwala nam czytać dramatów ani wierszy - skarżył się Bruno przy drugim daniu.

Ze względu na gości wszyscy byli odświętnie ubrani: ojciec miał na sobie mundur, matka zieloną sukienkę, która podkreślała kolor oczu, a Gretel z Brunonem stroje, w jakich w Berlinie chodzili do kościoła.

- Pytałem, czy będzie nam wolno chociaż raz w tygodniu, a on na to, że póki jest naszym nauczycielem, absolutnie nie ma mowy.

- Już on tam wie, co robi - pałaszując kęs baraniego udźca, odrzekł ojciec.

- W kółko by uczył tylko historii i geografii - powiedział Bruno. - Tak że zaraz tę historię z geografią znieawidzę.

- Bruno, nie używaj słowa "nienawidzić" - upomniała matka.

- Czemu nie cierpisz historii? - Ojciec przestał na moment jeść i przez stół spojrzął na

syna, który niezbyt grzecznie wzruszył ramionami.

- Bo to nuda.

- Nuda? - podjął ojciec. - Mój rodzony syn tak się wyraża o historii? Zatem posłuchaj, Bruno ciągnął pochylony, celując w chłopca nożem. Fakt, że tu dziś jesteśmy, zawdzięczamy właśnie historii. Gdyby nie historia, nie siedzielibyśmy teraz przy tym stole, ale w ciepłym gniazdku w Berlinie. Bo dzisiaj my historię poprawiamy.

- I tak to nudziarstwo - powtórzył Bruno, prawie nie słuchając.

- Zechce pan wybaczyć memu bratu. - Gretel lekko klepnęła w ramię porucznika Kotlera, na co matka spojrzała na nią przez zmrużone oczy. - Nie dość, że mały, to w dodatku nieuk.

- Wcale nie jestem nieukiem - warknął Bruno, bo dosyć miał jej złośliwości. - Proszę wybaczyć siostrze - dodał grzecznie. - To Beznadziejny Przypadek, więc nie za wiele da się zrobić. Zdaniem lekarzy nie ma już dla niej ratunku.

- Przymknij się! - krzyknęła, pąsowiejąc, Gretel.

- Sama się przymknij - Bruno uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Dzieci, spokój! - upomniała matka.

Ojciec zastukał nożem i wszyscy się uciszyli. Zerknąwszy na niego, Bruno stwierdził, że chyba się nie gniewa, ale też na pewno nie dopuści do dalszych kłótni.

- Za młodu uwielbiałem historię - po dłuższej chwili odezwał się porucznik Kotler. - I chociaż mój ojciec wykładał literaturę na uniwersytecie, nad sztukę zawsze przedkładałem nauki społeczne.

- No proszę, nie wiedziałam - zwróciła się do niego matka. - Nadal uczy?

- Pewnie tak - odparł porucznik Kotler. - Nie mam pojęcia.

- Jakże to? - unosząc brwi, spytała matka. - Nie jesteście w kontakcie?

Przezuwając spory kęs baraniny, młodzieniec miał dość czasu, żeby się zastanowić nad odpowiedzią. Wpierw jednak spojrzał na Brunona z wyrzutem.

- Kurt - powtórzyła matka. - Czyżbyś nie miał kontaktu z własnym ojcem?

- Raczej nie - pokornie wzruszając ramionami i unikając jej wzroku, odpowiedział porucznik. - Wyjechał z Niemiec dosyć dawno. Bodaj w trzydziestym ósmym. Odtąd się nie widzujemy.

Ojciec przerwał jedzenie i lekko skrzywiony popatrzył na porucznika Kotlera: A dokąd to się wybrał?

- Słucham, panie komendancie? - rzekł porucznik Kotler, choć pytanie ojca brzmiało aż nadto jasno.

- Pytam, dokąd wyjechał. Twój ojciec. Profesor literatury. Dokąd się wyprawił z Niemiec?

Twarz porucznika Kotlera lekko poczerwieniała.

- Chyba... - zająknął się. - Obecnie przebywa w Szwajcarii - odrzekł w końcu. - Z tego, co mi wiadomo, wykłada na uniwersytecie w Bernie.

- Ależ to piękny kraj - szybko wtrąciła matka. - W prawdzie tam nigdy nie byłam, ale podobno.

- To przecież młody człowiek - rzekł ojciec tak głośno, że wszyscy umilkli. - Zaraz, zaraz. Ile ty masz lat? Siedemnaście. Osiemnaście?

- Właśnie skończyłem dziewiętnaście, panie komendancie.

- Więc ojciec byłby trochę po czterdziestce? Zgadza się?

Porucznik Kotler nie odpowiedział, tylko jadł dalej choć najwidoczniej jedzenie wcale mu nie smakowało.

- Ciekawe, że nie został w ojczyźnie - stwierdził ojciec.

- Nie jestem z nim zbyt związany - rzekł pośpiesznie porucznik Kotler, jakby się tłumacząc wszystkim zgromadzonym przy stole. - Jak mówię, nie widzieliśmy się całe lata.

- A z jakiej to przyczyny, chciałbym spytać - ciągnął ojciec - wyjechał z Niemiec akurat w tak doniosłej chwili, gdy wszyscy mamy obowiązek brać czynny udział w odrodzeniu państwa? Czyżby nagle zapadł na gruźlicę?

Porucznik Kotler spojrział na ojca ze zmieszaniem.

- Słucham?

- Chcę wiedzieć, czy wybrał się do Szwajcarii, żeby zaczerpnąć powietrza? - wyjaśnił ojciec. - Czy też miał inny powód, by opuścić Niemcy. W roku trzydziestym ósmym - dodał po chwili.

- Przykro mi, ale nie wiem, panie komendancie - odrzekł porucznik Kotler. - Trzeba by jego o to spytać.

- Hmm, jest, jak wiadomo, tak daleko, że to raczej byłoby trudne. No, ale może faktycznie zachorował. - Ojciec wziął się do jedzenia po długim namyśle. - Albo też się nie zgadzał.

- Z kim, panie komendancie?

- Z działaniami rządu. Co rusz się o takich słyszy. Dziwacy, chorzy na umyśle, zdrajcy, tchórze. Ufam, poruczniku Kotler, że powiadomił pan przełożonych o poglądach ojca?

Młody człowiek żuł nerwowo, choć nic nie miał w ustach.

- Nieważne! - rzekł wesoło ojciec. - Szkoda sobie tym zawracać głowę przy kolacji. Wrócimy do tematu innym razem.

- Panie komendancie - odparł, lekliwie chyląc głowę, porucznik Kotler. - Zapewniam, że...

- Szkoda sobie tym zawracać głowę przy kolacji - ostro przywołał go do porządku ojciec, gdy Bruno zaczął zerkać raz na jednego, raz na drugiego, w równym stopniu zachwycony i przerażony przedziwną sytuacją.

- Ach, jak bym strasznie chciała pojechać do Szwajcarii - przerwała milczenie Gretel.

- Proszę się zająć jedzeniem - upomniała ją matka.

- No, ale.

- Jedz! - powtórzyła matka i chyba chciała coś dodać, lecz ojciec jej nie pozwolił, bo w tej samej chwili wezwał Pawła.

- Cóż ty dziś wyprawiasz? - zapytał, gdy Paweł otwierał następną butelkę wina. - Już czwarty raz proszę o dolewkę.

Bruno z niepokojem obserwował Pawła, któremu na szczęście udało się wyciągnąć korek bez większego trudu, lecz gdy już napełnił kieliszek ojca i miał zamiar obsłużyć porucznika Kotlera, raptem, nie wiedząc kiedy, wypuścił z rąk butelkę, wylewając całą zawartość bulbulbul na kolana gościa.

To, co się stało później, było zaskakujące i wyjątkowo przykre. Porucznik wściekł się na Pawła, lecz nikt ani Bruno, ani Gretel, ani matka, ani nawet ojciec nie ruszył się, aby go powstrzymać, choć przecież wzrok odwrócili wszyscy. I mimo że Bruno się rozplakał, a Gretel zbladła.

Wieczorem, przed snem, Bruno rozmyślał o zdarzeniach minionego dnia.

Wspominając, ile mu Paweł okazał dobroci, gdy spadł z huśtawki; jak zatamował krwotok i jak potem delikatnie polewał ranę brunatnym płynem. I chociaż Bruno wiedział, że ojciec to człowiek dobry i troskliwy, to z całą pewnością było nie w porządku, że nikt nie zareagował, kiedy porucznik Kotler rozgniewał się na Pawła a skoro w PoŚwieciu coś podobnego ma uchodzić za normę, on całkiem zamilknie i w ogóle z nikim nie będzie odtąd dyskutował.

Bo pewnym osobom sprzeciw mógłby się bardzo nie spodobać.

Dawne, berlińskie życie tak się nagle oddaliło, że, jak chodzi o Karla, Daniela i Martina, Bruno pamiętał tylko, iż jeden z nich to rudzielec.

## Bruno jak najśluszniej kłamie

Przez następnych kilka tygodni, gdy Herr Liszt w końcu oddalał się w swoją stronę, a matka zapadała w popołudniową drzemkę, Bruno wychodził z domu i po długiej wędrówce wzdłuż ogrodzenia spotykał się ze Szmulem, który czekał niezmiennie, siedząc po turecku, ze wzrokiem utkwionym w ziemię pokrytą pyłem.

Raz Szmul miał podbite oko, lecz zapytany, co się stało, potrząsnął głową i stwierdził, że mu się nie chce o tym mówić. Bruno uznał wówczas, że tacy, co nękają słabszych, istnieją na całym świecie, nie tylko w szkołach w Berlinie, więc Szmula pewno tak urządził któryś z nich. W przemożnym odruchu wsparcia przyjaciela Bruno niestety nie wiedział, jak mu poprawić humor, choć też Szmul najwidoczniej wołał puścić rzecz w niepamięć.

Przy każdym spotkaniu Bruno pytał Szmula, czy będzie mógł przeczołgać się do niego pod siatką, żeby się wreszcie pobawili po drugiej stronie ogrodzenia, Szmul jednak zawsze odmawiał, twierdząc, że to bez sensu.

- Czemu ci tutaj tak spieszo? - dziwił się Szmul. - Tu wcale nie jest tak fajnie.

- Oj, żebyś ty spróbował pomieszkać u mnie w domu - mówił Bruno. - Przede wszystkim, zamiast trzech, ma tylko jedno piętro. Jak w ogóle żyć w takiej ciasnocie?

Bruno już zapomniał opowieść Szmula o jedenastu osobach, które przed przyjazdem do PoŚwiecia mieszkały w tym samym pokoju; wszystkie, łącznie z Łukaszem, który bez przerwy tłukł go bez powodu.

Pewnego dnia Bruno spytał, czemu Szmuli inni po tamtej stronie ogrodzenia noszą identyczne pasiaste piżamy i płócienne czapki.

- Bo nam to dali zaraz po przyjeździe - odpowiedział Szmul. - A nasze ubrania odebrali.

- A jak się budzisz rano, nie masz czasem ochoty założyć co innego? Na pewno masz coś jeszcze w szafie.

Szmul zamrugał oczami i już otworzył usta, ale zawahał się z odpowiedzią.

- Niezbyt lubię paski - oświadczył Bruno, choć wcale nie była to prawda.

W istocie lubił paski i coraz bardziej go drażniło, że musi nosić spodnie, koszule, krawaty oraz za małe buty, podczas gdy Szmulowi i jego znajomym wolno od rana do nocy chodzić w pasiastych piżamach.

Rankiem, kilka dni później, Bruno zobaczył, że pierwszy raz od dawna ostro pada.

Niespodziewanie tak się rozpadało w nocy, więc uznał, że go zbudziła właśnie ta ulewa, lecz nie miał co do tego stuprocentowej pewności. Gdy jadł śniadanie, ciągle lało. I



łało też dalej w czasie porannej lekcji z Herr Lisztem, i później, kiedy jadł obiad. Nie przestało padać, gdy już skończyli popołudniowe zajęcia z historii i geografii co wróżyło fatalnie, bo przez ten deszcz Bruno nie mógł wyjść na spotkanie ze Szmulem.

Leżąc sobie po południu z książką, próbował jakoś skupić się na lekturze, gdy nagle Gretel zaszczyciła go wizytą. Dość rzadko wstępowała do pokoju Brunona, bo ciągle przestawianie i układanie lalek sprawiało jej przyjemność znacznie większą. Ale od tej całej słoty poczuła straszliwą niechęć do ulubionej rozrywki.

- Czego chcesz? - zapytał Bruno.

- Ładnie mnie witasz - odparła Gretel.

- Czytam.

- A co? - spytała siostra, lecz zamiast odpowiedzieć, Bruno po prostu pokazał jej okładkę, żeby zobaczyła sama.

Gretel prychnęła tak, że drobinki śliny opryskały chłopca.

- Nuda - rzekła śpiewnym tonem.

- Wcale nie - powiedział Bruno. - To książka przygodowa. Na pewno lepsza od tych twoich lalek.

Na razie Gretel nie dała się sprowokować.

- Co robisz? - powtórzyła, denerwując Brunona jeszcze bardziej.

- Słyszałaś; próbuję czytać - odparł zrzędlawie. - Więc mi może pozwól.

- Nie mam się czym zająć - rzekła Gretel. - Nienawidzę deszczu.

Dla Brunona było to niepojęte. Choć, prawdę powiedziawszy, Gretel nigdy się niczym nie umiała zająć, podczas gdy on przeżywał rozmaite przygody, co rusz się gdzieś wyprawiał i na dodatek się z kimś zaprzyjaźnił. Prawie nie wychodziła z domu, a teraz jakby chciała, by nuda ją pożarła. No, ale każdemu rodzeństwu zdarzają się chwile zawieszenia broni i kulturalnej pogawędki i Bruno postanowił, że nadszedł właśnie taki moment.

- Też nie cierpię deszczu - wyznał. - Dawno powinienem być u Szmula. Pewno sobie myśli, że o nim zapomniałem.

Słowa wymknęły się jakby same i w żaden sposób nie potrafił ich zatrzymać. Aż go zakłuło w żołądku ze złości, że tak głupio się wygadał.

- U kogo? - spytała Gretel.

- Proszę? - Chłopiec zamrugł oczami.

- U kogo miałeś być? - ponownie spytała Gretel.

- Przepraszam - odparł, chcąc zyskać na czasie. - Nie dosłyszałem. Mogłabyś powtórzyć?

- U kogo miałeś być? - Wrzasnęła Gretel, tym razem wychylając się tak, by do niego dotarło każde słowo.

- Wcale nie mówiłem, że się gdzieś wybieram - odrzekł Bruno.

- Właśnie, że tak. I że się temu komuś zdaje, że o nim zapomniałeś.

- Słucham?

- Bruno! - Głos jej zabrzmiał groźnie.

- Zwariowałaś? - spytał Bruno, starając się wmówić w siostrę, że wszystko zmyśliła, nie wyszło mu to jednak zbyt przekonująco, bo w przeciwieństwie do babci nie miał wrodzonego talentu aktorskiego.

- Mów wreszcie! - Gretel gniewnie pokiwała palcem. - Ktoś na ciebie czeka, tak? A kto? Powiedz! Tu się przecież w ogóle nie ma z kim bawić.

Bruno znalazł się w rozterce. Bo gdyby tak pomyśleć, niewątpliwie łączyło ich jedno: nie byli dorośli. I chociaż w sumie nigdy mu się nie chciało pytać o to siostrę przypuszczalnie w PoŚwieciu jej też doskwierała samotność. W Berlinie miała do towarzystwa Hildę, Izabelę i Luizę: dziewczyny irytujące, ale mimo wszystko jej przyjaciółki. Tutaj nie miała nikogo prócz kolekcji martwych lalek. Kto wie, może już całkiem zbzikowała i wydaje się jej, że te lalki mówią?

Lecz z drugiej strony było oczywiste, że to on, a nie Gretel, przyjaźni się ze Szmulem i chce go mieć tylko i wyłącznie dla siebie. Nie mając zatem wyjścia, Bruno musiał skłamać.

- Mam nowego kolegę - zaczął. - I co dzień się z nim spotykam. Więc pewnie już dawno czeka. Tylko nikomu nie wypapłaj.

- Czemu?

- Bo jest zmyślony - odpowiedział Bruno, z całych sił udając zmieszanie, jakie widział u porucznika Kotlera, kiedy nagle się wydało, że ma ojca w Szwajcarii.

- Bawimy się codziennie.

Gretel rozdziawiła usta i wgapiona w brata parsknęła śmiechem.

- Zmyślony kolega! - wykrzyknęła. - Ale z ciebie dzieciak!

Aby zabrzmiało to przekonująco, Bruno przybrał wielce zawstydzoną minę. Cały się niby skulił w sobie i ani razu nie spojrzał Gretel w oczy, co zadziało tak rewelacyjnie, iż stwierdził, że jednak chyba nie najgorszy z niego aktor. Marzył, by się przy tym zaczerwienić, ale to okazało się strasznie trudne, więc ciekaw, czy i tym razem się uda prędko zaczął sobie przypominać różne krępujące sytuacje.

Przypomniał sobie, jak raz przez roztargnienie nie zamknął drzwi do łazienki na klucz i nagle weszła babcia i wszystko zobaczyła. I jak raz w klasie podniósł rękę i zwrócił się do

nauczycielki”mamo”, no i się wszyscy z niego śmiali. I jak próbował popisać się przed dziewczynkami, i spadł z roweru, rozbił kolano i płakał.

Wreszcie dopiął swego i lekko się zarumienił.

- Proszę bardzo - potwierdziła rzecz Gretel. - Czerwony jak burak.

- Bo nie chciałem ci nic mówić - odparł Bruno.

- Zmyślony kolega! Wiesz co, Bruno, jesteś beznadziejny.

A Bruno tylko się uśmiechnął. Bo po pierwsze: kłamstwo uszło mu na sucho, a po drugie: w tym towarzystwie Beznadziejnym Przypadkiem była, jak wiadomo, Gretel.

- Odczep się - powiedział. - Chcę poczytać.

- A może lepiej się połów i zmruż oczka, i niech ci poczyta ten twój zmyślony kolega?

- odparowała Gretel, wprost zachwycona faktem, że mu teraz może tak naprawdę dopieć.

- Po cóż się masz wysilać?

- A może go wysłę do ciebie i niech ci te wszystkie lalki wywali za okno?

- Spróbuj, a pożałujesz. - Głos Gretel brzmiał stanowczo. - Ciekawe, co porabiacie, że to aż taka tajemnica?

Bruno nie od razu odpowiedział, bo sobie uzmysłowił, że w sumie chętnie by troszkę po opowiadał o Szmulu, a w ten sposób przecież można by ominąć prawdę.

- Rozmawiamy o przeróżnych sprawach - wyznał. - Ja opowiadam o naszym domu w Berlinie i o innych domach, i ulicach, i straganach z owocami i warzywami, i o kawiarniach, i że w sobotnie popołudnie ludzie tak się rozpychają, że lepiej nie wychodzić na miasto, i o Karlu, Danielu i Martinie, no i że to są moi trzej najwierniejsi przyjaciele.

- Niesamowite - odparła Gretel ironicznie, bo całkiem nie dawno obchodziła urodziny i jako osoba trzynastoletnia uważała ironię za szczyt wyrafinowania. A on o czym opowiada?

- O swoich rodzicach i warsztacie zegarmistrzowskim, nad którym dawniej mieszkał, i o przygodach, jakie mu się zdarzyły po drodze tutaj, i o dawnych kolegach, i o znajomych stąd, i o chłopcach, z którymi się bawił, ale już się nie bawi, bo zniknęli bez pożegnania.

- Można pęknać ze śmiechu - stwierdziła Gretel. - Strasznie żałuję, że go nie znam.

- A wczoraj mi powiedział, że o jego dziadku całkiem słuch zaginął, a kiedy o dziadka pyta ojca, to ten wybucha płaczem i tuli go tak mocno, że strach, czy go nie udusi.

Dotarłszy do końca zdania, Bruno uświadomił sobie, że mówi prawie szeptem.

Wszystko to było prawdą, ale ogrom smutku Szmula pojął dopiero teraz. Opowiadając na głos, poczuł się okropnie winny, że zamiast go wtedy jakoś pocieszyć, zaczynał pleść głupoty, na przykład o odkrywcach.

- Jutro go za to przeproszę - przyrzekł sobie w myśli.

- Gdyby się ojciec dowiedział, że gadasz ze zmyślonym kolegą, dopiero by ci się dostało - odezwała się siostra. - Daj sobie lepiej spokój.

- Dlaczego? - spytał Bruno.

- Bo to niezdrowe - odrzekła. - Tak się objawia choroba psychiczna.

Bruno przytaknął.

- Chyba nie dam rady - oświadczył po dłuższej chwili. - Raczej chyba nie chcę.

- Tak czy owak - Gretel była coraz przymilniejsza - na twoim miejscu zachowałabym to dla siebie.

- Hm - Bruno przybrał smutną minę. - Pewno masz rację. Ale się nie wygadasz, dobra?

Gretel pokręciła głową.

- No jasne. Powiem tylko swojej zmyślonej przyjaciółce.

Bruno zachłysnął się ze zdumienia.

- Więc też masz przyjaciółkę? spytał, wyobrażając sobie, jak Gretel też wyprawia się pod ogrodzenie, by godzinami gawędzić z rówieśnicą, która jak ona ubóstwia ironię.

- Skąd! - ze śmiechem odparła siostra. - Nie jestem dzieckiem, na Boga! Już mi nie wypada tak się zachowywać!

I z tymi słowy wybiegła jak szalona. Po chwili Bruno usłyszał, jak zwracając się do lalek, beszta je za bałagan, który robią, ledwo na moment wyjdzie, a wobec tego zmuszona jest znów je poprzestawiać, choć przecież ma na głowie sprawy znacznie ważniejsze.

- Jak tak można! - dodała, biorąc się do dzieła.

Bruno próbował dalej czytać, ale że książka go znudziła, zapatrzył się w deszcz, rozmyślając, czy Szmul tak samo za nim tęskni i też nie może doczekać się spotkania.

## Czego zrobić nie powinien

Już kilka tygodni lało prawie bez ustanku, więc Bruno i Szmul nie widywali się tak często, jakby tego chcieli. A podczas tych rzadkich spotkań Bruno stwierdził, że coraz bardziej martwi się o przyjaciela, który z każdym dniem chudł i szarzała mu buzia.

Czasami Bruno przynosił trochę więcej chleba z serem, aby dać Szmulowi, a nieraz nawet udało mu się schować w kieszeni kawałek ciasta czekoladowego, ale że z domu szło się na miejsce ich spotkań dosyć długo czasem po drodze Brunona chwycił głód, a jak się raz ugryzie ciasto, to potem, wiadomo, gryzie się aż do końca. No ale ocaliwszy już ten jeden kęs, ostatni, Bruno zawsze miał poczucie, że Szmul w ogóle nim się nie nasyci, tylko zgłodnieje jeszcze bardziej.

Zbliżały się urodziny ojca, więc choć oznajmił wszem wobec, że nie warto z tego powodu zawracać sobie głowy matka zaprosiła wszystkich oficerów będących na służbie w PoŚwieciu, i nastąpiło wielkie zawracanie głowy.

Czyniąc coraz to nowe plany w związku z przyjęciem, matka siadała w towarzystwie porucznika Kotlera i wspólnie sporządzali niezliczone spisy i wykazy.

Bruno też postanowił sporządzić wykaz. Listę wszelkich powodów, dla których nie lubi porucznika Kotlera. Po pierwsze, porucznik nigdy się nie uśmiechał i zawsze sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar kogoś wydziedziczyć.

Z rzadka odzywając się do Brunona, zwracał się do niego per”mały”, co było wyjątkowo podłe, bo jak zauważyła matka sam jeszcze nie dorósł.

W dodatku wiecznie przesiadywał z matką w salonie, a jego żarty bawiły ją o wiele bardziej niż żarty ojca.

Raz, gdy Bruno obserwował z okna domki po drugiej stronie i do ogrodzenia zbliżył się jakiś pies i zaczął głośno szczekać, porucznik Kotler po prostu tego psa zastrzelił.

Do tego zawsze na widok porucznika Gretel zaczynała go tak okropnie kokietować.

Bruno dotąd też nie zapomniał wieczoru z Pawłem, służącym, który naprawdę był lekarzem, i jak wtedy porucznik strasznie się rozgniewał.

Poza tym zawsze gdy ojciec był wzywany do Berlina i nie wracał na noc porucznik Kotler kręcił się po domu, tak jakby wszystkim rządził: szwendał się, kiedy Bruno szedł do łóżka, i potem rano znów wracał, nim on się zdążył przebudzić.

Choć Bruno najpierw przypomniał sobie akurat te, powodów niechęci do porucznika Kotlera było znacznie więcej.

Po południu przed urodzinami ojca, siedząc w swym pokoju przy otwartych drzwiach,

Bruno usłyszał, jak porucznik Kotler przemawia do kogoś w holu, ale ten ktoś najwyraźniej milczy. Po kilku minutach, schodząc na dół, usłyszał, jak matce, która się znów czegoś pilnie domagała, porucznik Kotler odpowiedział: „Bez obaw, już on dobrze wie, komu się przypodobać”, i roześmiał się tak paskudnie.

Bruno wybrał się do salonu z nową książką od ojca, była to „Wyspa skarbów”.

Miał zamiar sobie posiedzieć i poczytać ze dwie godzinki, ale po drodze natknął się na porucznika Kotlera, który właśnie wyszedł z kuchni.

- Cześć, mały - rzekł, jak zwykle z szyderczym uśmiechem.

- Cześć - krzywiąc się, odparł Bruno.

- Co znów kombinujesz?

Patrząc na porucznika, Bruno wymyślił bodaj siedem następnych powodów niechęci wobec niego.

- Chciałbym poczytać - odpowiedział, wskazując drzwi salonu.

Porucznik Kotler bez słowa wyrwał mu książkę i zaczął ją kartkować.

- Wyspa skarbów - powiedział. - A to niby o czym?

- No, o takiej wyspie - odrzekł Bruno powoli, tak by porucznik mógł za nim nadążyć. -

I o skarbach na niej.

- To wiadomo. - Sądząc po spojrzeniu, gdyby Bruno nie był synem komendanta, porucznik by się z nim nie cackał ani chwili dłużej.

- Powiedz coś więcej na ten temat.

- I występuje tu pirat - odparł Bruno. - Long John Silver. - I chłopiec nazwiskiem Jim Hawkins.

- Anglik? - spytał Kotler.

- Tak - odrzekł Bruno.

- Bueeee - prychnął Kotler.

Bruno spojrzał na niego, ciekaw, kiedy odzyska swoją Wyspę. Lecz gdy wyciągnął po nią rękę, porucznik, choć niezbyt zainteresowany książką zaczął się z nim droczyć.

- Przepraszam - powiedział, niby oddając książkę, by zaraz się wycofać. - Och, wybacz.

Chciał akcję powtórzyć, tym razem jednak Bruno okazał się szybszy i wyrwał mu swą własność.

- Ależ masz tempo - wycedził przez zęby porucznik.

Bruno chciał się oddalić, ale porucznik nagle stał się dziwnie rozmowny: No to się dziś zabawimy, co?

- Ja niewątpliwie - odparł Bruno, bo spędzając ostatnio więcej czasu z Gretel, też powoli nabierał ironicznego stosunku do rzeczywistości. - A jak pan, to nie wiem.

- Przyjdzie masa ludzi - z ciężkim westchnieniem oznajmił porucznik Kotler, rozglądając się, tak jakby to nie był dom Brunona, tylko jego własny. - Będziemy grzeczni, prawda?

- Ja niewątpliwie - odrzekł Bruno. - No a pan, to nie wiem.

- Ależ ty, mały, jesteś wygadany - stwierdził porucznik Kotler.

Bruno okropnie pożałował, że nie jest wyższy, silniejszy i osiem lat starszy.

I ogarnęła go wściekłość, że nie ma odwagi powiedzieć tego, co mu się ciśnie na usta. Bo przecież to najnormalniejsza rzecz pod słońcem, że ma słuchać rodziców. Ale żeby tak nim dyrygował obcy człowiek? Choćby i ktoś w randze "porucznika"?

- Kurt, skarbie, jak miło, że jesteś - wychodząc z kuchni, rzekła matka. - Mam teraz wolną chwilę, więc... O! - Spozstrzegła syna. - A cóż ty tu robisz, Bruno?

- Chciałem poczytać w salonie - odpowiedział Bruno. - A raczej próbowałem.

- Zaczekaj moment w kuchni. Muszę na osobności pomówić z porucznikiem.

I razem wkroczyli do salonu, a porucznik Kotler zatrzęsął chłopcu drzwi przed nosem.

Zagniewany do obłędu Bruno wszedł do kuchni, gdzie spotkała go największa z możliwych niespodzianka. Przy stole nie zaś daleko, po drugiej stronie ogrodzenia siedział sobie Szmul. Bruno się zdumiał.

- Szmul! Co tu robisz?

Szmul podniósł głowę, wylęknięty, ale na widok przyjaciela zaraz się rozpromienił.

- Bruno!

- Co tu robisz? - powtórzył Bruno, bo choć dalej nie wiedział, co się dzieje po drugiej stronie ogrodzenia, jakoś tak dziwnie czuł, że ludzie stamtąd jednak nie powinni przebywać u niego w domu.

- On mnie przyprowadził.

- On?! - zdziwił się Bruno. - Niby: porucznik Kotler?

- Aha. Powiedział, że ma tu dla mnie robotę.

I wtedy Bruno zobaczył na stole sześćdziesiąt cztery kieliszki, takie jak ten, z którego matka popijała dla zdrowia sherry a obok miskę mydlin, szmatkę i stos papierowych serwetek.

- Co masz, u licha, robić?

- Wyczyścić te kieliszki - odpowiedział Szmul. - Potrzebny im był ktoś o drobnych

palcach.

Jakby dla potwierdzenia czegoś, co Bruno przecież wiedział doskonale Szmul wyciągnął rękę i Bruno wtedy po prostu musiał spostrzec, że wygląda ona identycznie jak ręka kauczukowego szkieletu, który mu kiedyś na lekcji anatomii pokazywał Herr Liszt.

- Dopiero teraz widzę - rzekł z niedowierzaniem właściwie do siebie.

- Co? - zapytał Szmul.

W odpowiedzi Bruno też wyciągnął rękę, także się prawie dotknęli serdecznymi palcami.

- Nasze dłonie. Zobacz, jak się różnią!

Spojrzeni równocześnie i od razu zauważyli różnicę.

Bruno, choć jak na swój wiek raczej niski i zdecydowanie szczupły, miał ręce zdrowe i jędrne. Bez prześwitujących żyłek, o palcach zupełnie nie podobnych do zwiędłej gałązki.

Zdecydowanie nie to, co dłonie Szmula.

- Jak ci się to stało? - zapytał.

- Nie mam pojęcia - odparł Szmul. - Zawsze wyglądały tak jak twoje, a kiedy się zmieniły, nie wiem. Po mojej stronie ogrodzenia wszyscy teraz takie mają.

Bruno się zamyślił. Przywołując w pamięci obraz ludzi w pasiastych piżamach, zastanawiał się, o co właściwie chodzi z tym PoŚwieciami czy coś tu przypadkiem nie gra, skoro ci wszyscy ludzie nabierają tak chorego wyglądu. Rozwikłanie obu kwestii okazało się nad wyraz trudne. Żeby już nie patrzeć na dłoń Szmula, odwrócił się i w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia otworzył lodówkę. Z obiadu zostało pół nadziewanego kurczaka, a drób na zimno z cebulowoszałwiowym nadzieniem uwielbiał tak bardzo, że mu aż z radości zapłonęły oczy. Wyjąwszy nóż z szuflady, prędko ukroił sobie kilka sporych plastrów, posmarował je farszem i wrócił do rozmowy z przyjacielem.

- Ale się cieszę, że przyszedłeś - oznajmił z pełną buzią. - Jakbyś nie musiał czyścić szkła, pokazałbym ci swój pokój.

- Kazał się stąd nie ruszać inaczej pożałuję.

- Nie warto się nim przejmować - odparł Bruno, choć wcale nie był przecież aż taki odważny. - To mój dom, a nie jego, i gdy nie ma ojca, ja tu rządzę. Mieści ci się w głowie, że on nie zna Wyspy skarbów.

Lecz Szmul chyba go nie słuchał zbyt uważnie, tylko z przejęciem wpatrywał się w znikające w jego ustach plastry faszzerowanego kurczaka. Po chwili Bruno zauważył i zaraz poczuł się winny.

- Przepraszam, Szmul - rzekł pospiesznie. - Powiniennem się z tobą podzielić.



Zgłodniałeś?

- Mnie pytać o to nie trzeba - odpowiedział Szmul, bo choć wcale nie znał Gretel, miał już pewne pojęcie o ironii.

- Czekaj. Już ci daję. - Bruno otworzył lodówkę i ukroił jeszcze trzy porządne plastry dla przyjaciela.

- Oj, nie, bo jak wróci. - Szmul gwałtownie pokręcił głową i zerknął na drzwi.

- Niby kto? Porucznik Kotler?

- Mam tylko czyścić te kieliszki - odpowiedział Szmul, rozpaczliwie popatrując raz na miskę mydlin, raz na plastry kurczaka.

- Na pewno się nie przyczepi - orzekł Bruno, nie rozumiejąc strachu chłopca. - Przecież to tylko jedzenie i nic więcej.

- Nie mogę. - Szmul pokręcił głową i zrobił taką minę, jakby się miał rozpłakać. - On wróci, wróci na sto procent - ciągnął jednym tchem. - Trzeba było zjeść od razu, jak mnie poczęstowałeś, teraz to już za późno, jak wezmę, on pewnie wejdzie, no i...

- Masz! - postąpiwszy naprzód, Bruno wetknął mu do gardła plastry kurczaka. - Jedz i się nie przejmuj. Nie braknie nam na podwieczorek, możesz być spokojny.

Chłopiec spojrzał w pierw na jedzenie, a potem na Brunona; w szeroko otwartych oczach malowała się wdzięczność i okropny przestach. Zerknąwszy raz jeszcze w stronę drzwi, jednak się zdecydował i wepchnął sobie w usta wszystkie trzy plastry naraz, by je pochłonąć ledwie w dziesięć sekund.

- Tylko się tak nie spiesz - upomniął go Bruno. - Bo jeszcze się pochorujesz.

- A, co tam - Szmul słabo się uśmiechnął. - Dzięki, Bruno.

Bruno też się uśmiechnął i już miał zamiar mu dokroić, gdy w tej samej chwili w drzwiach kuchni pojawił się porucznik Kotler i na ich widok przystanął. Bruno spojrzał na niego i natychmiast wyczuł, że coś jest nie w porządku, bo Szmul znów zwiesił ramiona i prędko wziął się do czyszczenia następnego kieliszka. Ignorując Brunona, porucznik podszedł do Szmula.

- Co ty wyprawiasz?! - wrzasnął, piorunując go wzrokiem. - Kazałem czyścić kieliszki, tak?

Szmul lękliwie przytaknął i lekko roztrzęsiony, umoczył w mydlinach szmatkę.

- Kto ci się tu pozwolił wdawać w pogaduszki? - krzyczał Kotler. - Masz czelność mnie nie słuchać?

- Nie, panie - odrzekł Szmul cichutko, zerkając na porucznika. - Przepraszam, panie.

Nachmurzony porucznik Kotler pochylił się i wpatrzył w buzię chłopca.

- Coś jadłeś? - zapytał szeptem, jakby sam w to nie wierzył.

Szmul zaprzeczył ruchem głowy.

- Przecież widzę - upierał się porucznik Kotler. - Zwędziłeś coś z lodówki?

Szmul otworzył, a potem zamknął usta. I jakby szukając słów, otworzył je znowu lecz na próżno. Błagalnym wzrokiem popatrzył na Brunona.

- Mów! - wrzasnął porucznik Kotler. - Ukradłeś coś z tej lodówki?

- Nie, panie. Dostałem od niego - z oczami pełnymi łez, popatrując na Brunona, odpowiedział Szmul. - To mój przyjaciel - dodał.

- Twój... - Zbity z tropu porucznik też spojrział na Brunona. - Jak to: przyjaciel? - spytał po chwili wahania. - Bruno, znasz tego chłopaka?

Bruno otworzył usta, nie mogąc sobie przypomnieć, jak się ich używa, aby odpowiedzieć: "tak". W życiu mu się nie zdarzyło spotkać człowieka przerażonego bardziej niż teraz Szmul i dlatego chciał powiedzieć coś, co rozładuje sytuację, lecz sam najwidoczniej też ze strachu nie mógł wydusić słowa.

- Znasz tego chłopaka? - głośniejszym głosem powtórzył Kotler. - Zadajesz się z więźniami?

- Ja... Siedział tu, jak wszedłem - odparł Bruno. - Czyścił kieliszki.

- Nie o to pytałem - rzekł Kotler. - Znaście się? Rozmawiacie? Czemu gada, że jesteś jego kolegą?

Bruno zaprzagnął uciec jak najdalej. Porucznik Kotler był okropny, a teraz tak na niego napadł, że natychmiast mu się przypomniało to popołudnie, gdy zastrzelił psa, i wieczór, gdy rozjuszony przez Pawła...

- Mów, Bruno! - wrzasnął czerwony z gniewu porucznik Kotler. - Bo zaraz stracę cierpliwość!

- Nie rozmawialiśmy - natychmiast odpowiedział Bruno. - Nie znam go i widzę po raz pierwszy w życiu.

Wyraźnie zadowolony, porucznik Kotler skinął głową. Powoli odwrócił się do Szmula, który przestał płakać i ze wzrokiem utkwionym w podłogę sprawiał wrażenie, jakby się starał przekonać swoją duszę, by opuściła drobne ciało, przefrunęła drzwi i szybując pośród chmur wzniosła się wprost do nieba.

- Wyczyścisz wszystkie kieliszki - rzekł porucznik Kotler, znowu bardzo cicho, tak cicho, że Bruno ledwo go dosłyszał; lecz choć mówił niby bez gniewu, to wcale też niemiło, tylko jakoś dziwnie groźnie. A wtedy cię odstawię do obozu i pomówimy o tym, co spotyka złodziei. Zrozumiano?

Szmul ze skinieniem głowy sięgnął po nową serwetkę i wziął się do pracy. Widząc,

jak drżą mu palce, Bruno się domyślił, że to ze strachu, by nie stłuc jakiegoś kieliszka.

I choć bardzo starał się odwrócić wzrok, to z zamarłym sercem przyglądał się dalej.

- Ty, mały. - Zbliżywszy się do Brunona, porucznik Kotler objął go szorstkim gestem.  
- Idź do salonu i poczytaj, niech... skończy robotę - wyraził się identycznie jak wtedy, gdy kazał Pawłowi iść szukać opony.

Bruno kiwnął głową i nie oglądając się, wyszedł z kuchni. W żołądku tak go szarpało, że bał się, iż za chwilę zwymiotuje. Nigdy dotąd nie czuł się tak zawstydzony i nigdy nie posądzał się o takie okrucieństwo. Bo żeby przyzwoity chłopiec mógł w taki sposób potraktować przyjaciela. W salonie siedział kilka godzin, ale nie umiał skupić się na książce, a do kuchni odważył się zaglądnąć dopiero pod wieczór, gdy Kotler wrócił po Szmula i odprowadził go na tamtą stronę.

Co dzień po tym zdarzeniu Bruno chodził w wiadome miejsce, pod druty ogrodzenia, Szmula jednak wciąż nie było. Po blisko tygodniu stwierdził, że jego czyn jest potworny i nie zostanie mu wybaczony nigdy, aż siódmego dnia, ku swej radości, znów ujrzął przyjaciela.

Szmul czekał jak zawsze, siedząc po turecku, wpatrzony w ziemię pokrytą pyłem.

- Szmul! - Bruno rzucił się ku niemu i z ulgi oraz żalu mało nie wybuchnął płaczem. - Tak mi przykro. Nie wiem, czemu się tak zachowałem. Powiedz, że się nie gniewasz.

- Gdzie tam - odparł Szmul i spojrzał na Brunona.

Twarz miał tak posiniaczoną, że ze zdumienia Bruno na sekundę zapomniał o przeprosinach.

- Co ci się stało? - spytał, nie czekając odpowiedzi. - To rower? Bo mnie tak się stało w Berlinie ze dwa lata temu. Jechałem za szybko i zleciałem, i później tygodniami chodziłem cały w sińcach. Boli?

- Nic nie czuję - odpowiedział Szmul.

- Wygląda niedobrze.

- Ja już w ogóle nic nie czuję.

- Przepraszam, no, wiesz, za co - rzekł Bruno. - Nie cierpię tego całego porucznika Kotlera. Myśli, że się może rządzić, choć nie jest u siebie - przerwał, by nie stracić wątku, bo przecież najważniejsze były przeprosiny, prosto z serca. - Ogromnie mi przykro - powtórzył głośno i wyraźnie. - Dotąd mi się nie chce wierzyć, że nie powiedziałem prawdy. W życiu nie zawiodłem przyjaciela i bardzo, bardzo mi wstyd.

Na te słowa Szmul z uśmiechem kiwnął głową i widać było, że już się nie gniewa.

Zrobił coś jeszcze, pierwszy raz od początku ich znajomości. Uniósłszy drucianą siatkę, jak zwykle, kiedy mu Bruno przynosił coś do jedzenia wyciągnął rękę, a gdy Bruno

podał mu swoją, obaj chłopcy uścisnęli sobie dłonie.

I tak to po raz pierwszy się dotknęli.

## Ścięcie włosów

Minął blisko rok od czasu, gdy po powrocie do domu Bruno stwierdził, że Maria pakuje mu rzeczy i wspomnienia o Berlinie zblakły już prawie do cna. Pamiętał, że dwaj z jego trzech najlepszych w świecie przyjaciół to Karl z Martinem, lecz jak ma na imię ten trzeci, przypomnieć sobie nie mógł żadną miarą. Aż raptem okazało się, że na dwa dni wróci do dawnego domu, bo umarła babcia i na pogrzeb muszą jechać wszyscy.

I wtedy, w dawnym domu, Bruno uświadomił sobie, że już nie jest taki mały, jak w chwili wyjazdu, bo nagle zaczął ogarniać wzrokiem rzeczy, których dawniej nie widział, i bez stawiania na palcach mógł sobie oglądać cały Berlin przez to okno na poddaszu.

Od przeprowadzki z Berlina nie widział się z babcią, ale myślał o niej co dzień.

Najczęściej wspominał przedstawienia, które wspólnie z Gretel urządzali na Gwiazdkę i na urodziny, no i jak do każdej roli zawsze idealnie babcia dobierała kostium. Na myśl, że to się nie powtórzy już nigdy, ogarniał Brunona dojmujący smutek.

Dwa dni spędzone w Berlinie okazały się więc ogromnie przykre. Na pogrzebie Bruno siedział z Gretel, rodzicami i dziadkiem w pierwszym rzędzie. Ojciec miał na sobie najlepszy mundur, ten wyczyszczony, uprasowany i z przeróżnymi odznaczeniami. A było mu smutno, tym bardziej że jak matka wyjaśniła Brunonowi miał z babcią konflikt i nie zdążył się z nią pogodzić.

Do kościoła przysłano masę wieńców, a ojciec bardzo się szczycił, że jeden z nich jest od Furii, matka jednak, na wieść o tym, powiedziała, że babcia pewno przewraca się w grobie.

Powrót do PoŚwiecia Bruno przyjął niemal z radością. Ten dom stał się już jego domem i fakt, że ma tylko jedno piętro, zamiast trzech, wcale go już nie martwił i nie przeszkadzali mu już nawet ci żołnierze, co wiecznie się tam kręcili jak u siebie. Po pewnym czasie zwłaszcza odkąd poznał Szmula uznał, że wcale nie jest tam aż tak okropnie. Wiedział, że ma mnóstwo powodów do radości, jak choćby to, że rodzice właściwie stale są pogodni i matka nie musi już tak często drzemać po południu ani też dla zdrowia popijać sherry. Do tego jeszcze Gretel, by użyć słów matki, przeżywała pewien okres w życiu i wobec tego wchodziła mu w paradę bardzo rzadko.

Poza tym, porucznik Kotler został przeniesiony gdzieś z PoŚwiecia, tak że już nie mógł bez przerwy denerwować Brunona. (Wyjechał niespodzianie i mimo że matka z ojcem strasznie się o to kłócili do późna w nocy, to jednak z całą pewnością na dobre wyniósł się z PoŚwiecia, więc Gretel była niepokieszona). Bruno miał zatem kolejny powód do radości,

odtąd już nikt go nie nazywał "małym".

Lecz najlepsze było to, że zyskał przyjaciela imieniem Szmul.

Co dzień po południu radośnie wędrował wzdłuż ogrodzenia, zadowolony, że ostatnimi czasy przyjaciel ma dużo lepszy humor i oczy już nie tak zapadłe choć nadal jest przeraźliwie chudy i paskudnie szary na buzi.

Raz, gdy sobie siedzieli tam gdzie zwykle, Bruno wyznał: To najsilniejsza ze wszystkich moich przyjaźni.

- Czemu? - zapytał Szmul.

- Bo ze wszystkimi chłopcami, z którymi się przyjaźniłem do tej pory, zawsze mogłem się bawić odpowiedział Bruno. A my się nie bawimy nigdy. Tylko tak sobie siedzimy i rozmawiamy.

- Lubię tak posiedzieć i pogadać - odparł Szmul.

- Ja też, wiadomo - rzekł Bruno. - Choć szkoda, że czasem nie można trochę poszaleć, na przykład wybrać się na poszukiwanie. Albo pograć w piłkę. Bo przez to ogrodzenie nawet się za dobrze nie widzimy.

Podobne uwagi Bruno robił dosyć często, aby wyglądało, że zdarzenie sprzed paru miesięcy, kiedy wyrzekł się swej przyjaźni ze Szmulem, to w ogóle nieprawda. Dotąd zmagał się z tamtą sytuacją i czuł się potwornie winny, choć, Szmul trzeba mu to przyznać, tak jakby dawno już zapomniał o sprawie.

- Może się kiedyś uda - powiedział Szmul. - O ile nas stąd wypuszczą.

Bruno coraz częściej rozmyślał o dwóch stronach ogrodzenia, a przede wszystkim o tym, dlaczego je wzniesiono. Chciał nawet zapytać rodziców, podejrzewał jednak, że albo się rozniewają, że porusza ten temat, albo mu powiedzą coś przykrego o Szmulu i jego rodzinie.

Zrobił więc coś niesamowitego: postanowił pogadać z Beznadziejnym Przypadkiem.

Od ostatniej wizyty Brunona pokój Gretel uległ znacznym zmianom. Po pierwsze, zniknęły wszystkie lalki. Któregoś popołudnia, bodaj przed miesiącem, gdy porucznik Kotler wyjeżdżał z PoŚwiecia, Gretel stwierdziła, że ma dosyć lalek, po czym władowała je do czterech dużych worków i wyrzuciła. Zastąpiła je podarowanymi przez ojca mapami Europy, codziennie wtykała w nie szpileczki, które stale przesuwiała po lekturze dziennika.

Bruno nabrał podejrzeń, że siostra zwariowała. Ale że, z drugiej strony, już nie dręczyła go jak dawniej uznał, iż nie zaszkodzi z nią teraz porozmawiać.

- Cześć - najpierw grzecznie zapukał, by się przypadkiem nie wściekła.

- Czego chcesz? - Gretel układała włosy przy toalecie.

- Nic - odrzekł Bruno.

- To sobie idź.

Mimo to Bruno wszedł do pokoju i siadł na skraju łóżka. Gretel popatrzyła koso lecz bez słowa.

- Gretel - odezwał się w końcu. - Mógłbym o coś zapytać?

- Byle szybko - odparła siostra.

- W PoŚwieciu wszystko... - zaczął, ale natychmiast mu przerwała.

- Bruno, to nie jest żadne PoŚwiecie - upomniała z takim gniewem, jakby w historii ludzkości nikt się jeszcze bardziej nie omylił. - Spróbujże wymówić to poprawnie!

- Nazywa się PoŚwiecie - zaprotestował chłopiec.

- Nic podobnego - rzekła stanowczo Gretel, poprawnie wymawiając nazwę.

Bruno zmarszczył brwi i równocześnie wzruszył ramionami.

- No, ale ja tak mówię.

- To źle. Zresztą nie będę się z tobą kłócić - odpowiedziała Gretel, tracąc cierpliwość, której, jak wiadomo, nie miała w nadmiarze. - O co ci w ogóle chodzi? Co byś chciał wiedzieć?

- Ciekawi mnie to ogrodzenie - odparł głośno Bruno, uznawszy, że od tego właśnie trzeba zacząć. Chcę wiedzieć, po co tu stoi.

Gretel obróciła się na krześle i zaintrygowana spojrzała na Brunona.

- To ty nie wiesz? - spytała.

- Nie. I nie rozumiem, czemu nam nie wolno przechodzić na drugą stronę. Dlaczego zabraniają nam się tam bawić?

Ze wzrokiem utkwionym w bracie Gretel nagle wybuchnęła śmiechem i zamilkła, gdy do niej dotarło, że pyta ją absolutnie poważnie.

- Bruno - powiedziała dziecinnym tonem, tak jakby to było oczywiste. - Ogrodzenie nie jest po to, żebyśmy my tam nie chodzili. To im ma uniemożliwić przechodzenie tutaj.

Brunonowi jednak nic to nie wyjaśniło.

- No, ale dlaczego? - zapytał.

- Bo ich się musi trzymać razem - wyjaśniła siostra.

- Znaczący: z rodzinami?

- Tak, z rodzinami. Ale też chodzi o gatunek.

- A jaki to gatunek? Powiedz!

Wzdychając, Gretel pokręciła głową.

- Żydzi, Bruno. Nie wiesz? Dlatego ich należy trzymać osobno. Żeby się z nami nie kontaktowali.

- Żydzi - powtórzył Bruno, smakując nowy wyraz, który mu wyjątkowo przypadł do gustu. - Żydzi. Wszyscy po tamtej stronie ogrodzenia to Żydzi. Nie inaczej.

- I my jesteśmy Żydami?

Gretel otworzyła usta tak szeroko, jakby ją ktoś uderzył.

- Nie, Bruno - odrzekła. - Zdecydowanie nie. I lepiej, żebyś nie mówił takich rzeczy.

- A czemu? To kim jesteśmy?

- Jesteśmy... - zaczęła Gretel, lecz wpięrw musiała się zastanowić. - Jesteśmy... - powtórzyła, niepewna, czy to właściwa odpowiedź. - Nooo, Żydami nie jesteśmy - zakończyła wreszcie.

- To wiem - zdenerwował się Bruno. - Jak nie Żydami, to kim, proszę bardzo?

- Przeciwnictwem - pospiesznie i znacznie bardziej zadowolona z tej odpowiedzi odparła Gretel. - Tak właśnie: ich przeciwnictwem.

- Rozumiem - Bruno się ucieszył, że w końcu do niego to dotarło. - Czyli: Przeciwnictwo mieszka po tej stronie ogrodzenia, a Żydzi po tamtej.

- Otóż to.

- I Żydzi nie lubią Przeciwnictwa?

- Nie, głupku, my ich nie lubimy.

Bruno się nachmurzył. Gretel bez końca powtarzano, by nie nazywała go głupkiem, a ta ciągle swoje!

- A czemu ich nie lubimy? - spytał.

- Bo to Żydzi - odparła.

- Aha. Więc Przeciwni nie są w dobrych stosunkach z Żydami.

- Właśnie - Gretel odparła wolno, bo przed sekundą znalazła coś we włosach i postanowiła się temu dobrze przyjrzeć.

- No, a nie można by ich tak zebrać i... - Bruno nie dokończył, bo Gretel wrzasnęła tak przenikliwie, że obudzona z popołudniowej drzemki matka przybiegła na górę, by sprawdzić, czy dzieci się przypadkiem nie mordują.

Układając fryzurę, Gretel znalazła malutkie, nie większe niż główka szpilki, jajeczko i pokazała je matce, która zaraz starannie przeglądnęła jej głowę, po czym równie dokładnie przejrzała włosy Brunona.

- A jakże! - Rozzłościła się matka. - Czułam, że prędzej czy później tu się coś takiego musi zdarzyć!

Okazało się, że i Bruno, i Gretel mają wszy, no i Gretel trzeba było umyć głowę specjalnym szamponem, cuchnącym tak okropnie, że potem, zapłakana, w ogóle nie chciała



wyjść z pokoju.

Choć Brunonowi umyto głowę tak samo, ojciec zdecydował, że najlepsza będzie metoda radykalna i że sam mu zgoli włosy brzytwą. Chłopiec wybuchnął płaczem. Operacja trwała dosyć krótko, a widok spadających na podłogę kosmyków był nieopisanie przykry, ojciec jednak twierdził stanowczo, że jest to konieczne.

Gdy potem Bruno przejrzał się w lustrze w łazience, zebrało go na mdłości. Łysa głowa wyglądała tak bezkształtnie, a oczy w stosunku do twarzy były tak nieproporcjonalnie wielkie, że niemal wystraszył się swojego odbicia.

- Nie martw się - uspokajał go ojciec. - Za parę tygodni odrosną.

- Wszystko z tego brudu - oświadczyła matka. - Ach, gdyby pewne osoby umiały dostrzec, jak na nas wpływa pobyt tutaj.

Obejrząwszy się w lustrze, Bruno natychmiast zauważył, jak bardzo teraz przypomina Szmula, i zastanawiał się, czy wszyscy po tamtej stronie ogrodzenia też mają wszy i czy z tego powodu golą sobie głowy.

Nazajutrz Szmul parsknął śmiechem na widok przyjaciela co jeszcze osłabiło w nim nadwątlone poczucie własnej wartości.

- Wyglądamy identycznie - rzekł ze smutkiem Bruno, jakby należało się tego wstydzić.

- Tylko że ty jesteś grubszy - zgodził się Szmul.

## Matka stawia na swoim

Od kilku już tygodni matka czuła się w PoŚwieciu coraz gorzej, a Bruno wiedział doskonale, dlaczego. I jemu na samym początku było tutaj okropnie, bo dom ani odrobinę nie przypominał prawdziwego domu, i brakowało rozmaitych rzeczy i trzech najwierniejszych przyjaciół. Lecz, gdy o niego chodzi, z czasem uległo to zmianie, głównie dzięki Szmulowi, który stał mu się o wiele bliższy niż Karl, Daniel czy Martin. Ale matka nie miała swego Szmula. Nie mogła z nikim porozmawiać, a jedyny człowiek, z którym się jako tako zaprzyjaźniła - młody porucznik Kotler został gdzieś przeniesiony.

Bruno zawsze chciał być inny niż chłopcy, którzy wiecznie nasłuchują przez dziurkę od klucza albo przy kominku, ale pewnego popołudnia, mijając gabinet ojca, stwierdził, że rodzice prowadzą kolejną ważną rozmowę. Nie miał zamiaru podsłuchiwać, lecz rozmawiali tak głośno, że słyszał wszystko jakby mimo woli.

- Koszmar - mówiła matka. - Coś potwornego! Dłużej tu nie wytrzymam.

- Nie mamy wyboru - odpowiedział ojciec. - Tu nas przydzielono, tak że...

- Ciebie przydzielono - stwierdziła matka. - Nie nas, tylko ciebie. Więc skoro chcesz, to zostań.

- Ciekawe, co pomyślą, jak ci pozwolę samej z dziećmi wracać do Berlina? - spytał ojciec. - Zaraz nabiorą wątpliwości co do mego zaangażowania w pracę.

- Pracę?! - wykrzyknęła matka. - Ty to nazywasz pracą?

Dalej Bruno już nie słuchał, bo głosy przybliżyły się do drzwi, a wobec tego w każdej chwili matka mogła wybiec, by sobie dla zdrowia łyknąć trochę sherry, tak że prędko pognął na górę do swego pokoju. Choć z tego, co zdołał usłyszeć, wynikało, że istnieje szansa na powrót do Berlina, to jednak nie bardzo był pewny, czy ma się cieszyć, czy smucić.

Z jednej strony niewątpliwie żyło mu się tam cudownie, ale przecież wiele się zmieniło. Pewno Karl i ci dwaj najlepsi przyjaciele, których imiona dawno wyleciały mu z głowy, już go nie pamiętają. Babcia zmarła i od dziadka też nie było wieści, bo jak mówił ojciec całkiem zniedołężniał.

Tymczasem do życia w PoŚwieciu Bruno zdążył się już przyzwyczać: Herr Liszt go nie irytował, z Marią zbliżył się tu o wiele bardziej niż w Berlinie, Gretel nadal przechodziła trudny okres, więc się go nie czepiała (i w sumie przestała być tak strasznie Beznadziejnym Przypadkiem), a popołudniowe spotkania ze Szmulem napawały go prawdziwym szczęściem.

Nie wiedząc, co wobec tego począć, Bruno postanowił, że zgodzi się na wszystko bez szemrania.

Parę tygodni nic się nie zmieniało i życie toczyło się zwykłym trybem. Ojciec albo przesiadywał w swoim gabinecie, albo wyprawiał się na drugą stronę ogrodzenia. Matka od rana do nocy prawie się nie odzywała i drzemała znacznie dłużej niż zwykle, nie tylko po południu, ale też i przed obiadem, a na dodatek wypijała tyle sherry, że Bruno zaczął się poważnie martwić o jej zdrowie. Gretel nie wychodziła z pokoju, zajęta różnymi mapami, na których po dogłębnej lekturze codziennych gazet po trochu przesuwała te swoje szpileczki.

(Co nad wyraz cieszyło Herr Liszta).

A Bruno posłusznie robił, co mu kazano, nie wyprawiał brewerii i cieszył się, że ma tajemniczego przyjaciela, o którym nikt nie wie.

Pewnego dnia ojciec wezwał do gabinetu Gretel z Brunonem, by im zakomunikować, co w krótkce ulegnie zmianie.

- Usiądźcie, dzieci. - Zajmując miejsce za biurkiem, ojciec wskazał dwa obszerne skórzane fotele, na których zwykle zabraniano im siadać, bo mogliby je pobrudzić. - Postanowiliśmy zmienić to i owo ciągnął, jakby trochę smutny. Powiedzcie: dobrze wam tutaj?

- Tak, ojczy, naturalnie - odrzekła Gretel.

- Oczywiście - odpowiedział Bruno.

- A nie tęsknicie za Berlinem?

Z wahaniem zerknęli na siebie, niepewni, które powinno odpowiedzieć.

- No, ja strasznie tęsknię - odezwała się w końcu Gretel. - Już by mi się przydały jakieś nowe koleżanki.

Na myśl o swojej tajemnicy, Bruno się uśmiechnął.

- Koleżanki. - Ojciec skinął głową. - Rozumiem, że nieraz pewnie czujesz się samotna.

- Baaardzo samotna - z mocą potwierdziła Gretel.

- A ty? - ojciec zwrócił się do Brunona. - Nie tęsknisz za przyjaciółmi?

- Owszem - odparł chłopiec po chwili namysłu. - Ale mnie by ludzi brakowało wszędzie. - Rzecz jasna, miał na myśli Szmula, postanowił jednak nic nie zdradzić.

- A chcielibyście wrócić do Berlina? - spytał ojciec. - Gdyby się dało?

- Wszyscy?

Westchnąwszy, ojciec pokręcił głową.

- Tylko ty z matką i Gretel. Do starego domu. Chcecie?

Bruno wpiersz się musiał zastanowić.

- Bez ciebie to nie chcę - odpowiedział zgodnie z prawdą.

- Więc wolisz tu ze mną zostać?

- Wolałbym, żebyśmy byli wszyscy w czwórkę - odparł Bruno, niechętnie wliczając w to również Gretel. - Nieważne, czy w Berlinie, czy w PoŚwieciu.

- Och, Bruno! - zniecierpliwiała się Gretel, choć trudno było dociec, czy dlatego, że przez to, co powiedział, jej plan powrotu może się nie powieść, czy może dlatego, że (jej zdaniem) ciągle wymawia nazwę nie tak, jak należy.

- No cóż, obawiam się, że chwilowo nie będzie to możliwe - oznajmił ojciec. - Boję się, że na razie jeszcze mnie nie zwolnią z posterunku. Matka natomiast uważa, że teraz jest najodpowiedniejsza pora, abyście we trójkę wrócili do Berlina i zajęli się domem, no i według nie to... - Na moment przerwał, by wyrzeć przez okno po swej lewej stronie, to okno z widokiem na domki po przeciwnej stronie ogrodzenia. - Kto wie, może myśli słusznie. Może faktycznie to nie miejsce dla dzieci.

- Ale tu są setki dzieci - rzekł Bruno bez namysłu. - Tyle że mieszkają po drugiej stronie ogrodzenia.

Zapadła cisza, nie taka jednak zwyczajna, kiedy po prostu każdy milczy. Tylko cisza hałaśliwa. Ojciec z Gretel wbili wzrok w chłopca, a on zamrugnął, zadziwiony.

- Co ty mówisz, Bruno? Jakie setki dzieci? - spytał ojciec. - Wiesz, co tam się dzieje?

Bruno już zaczął otwierać usta, ale się wystraszył, że jeśli zdradzi za dużo, może mieć kłopoty.

- Widać je z mojego okna - odpowiedział wreszcie. - Wiadomo, że są daleko, ale tak wygląda, jakby ich były setki. I wszystkie w pasiastych piżamach.

- Tak właśnie, w pasiastych piżamach - przytaknął ojciec. - A ty je obserwujesz, prawda?

- No, znaczy się, widuję. A to chyba nie to samo.

Ojciec się uśmiechnął.

- Doskonale, Bruno. Masz rację: to dwie różne rzeczy... - Znów się zawahał i znów kiwnął głową, jak gdyby nareszcie podjął ostateczną decyzję. - Tak więc się nie myli. - I dodał na cały głos, nie patrząc na dzieci: - Jak widać, najwyższy czas, byście wrócili do domu.

- Decyzja więc zapadła. Na przód powiadomiono kogo trzeba, że musi się wysprzątać w całym domu, umyć okna, pokryć lakierem balustradę, uprasować bieliznę i zaścielić łóżka po czym ojciec oznajmił, że matka z Gretel i Brunonem za tydzień wracają do Berlina.

A Bruno stwierdził, że wbrew pozorom wcale go to nie cieszy, no i drżał na samą myśl, jak powie o tym Szmulowi.

## Obmyślanie ostatniej wyprawy

W dniu, kiedy ojciec powiedział Brunonowi, że wkrótce ma wracać do Berlina, Szmul nie pojawił się przy ogrodzeniu tak jak zwykle. Na drugi dzień też się nie pokazał.

Trzeciego dnia, gdy Bruno po dziesięciu minutach czekania szykował się do powrotu, okropnie przygnębiony, że musi wyjechać z PoŚwiecia bez pożegnania z przyjacielem w oddali ujrzał kropkę, z której się zrobił punkt, z którego się zrobiła plama, z której się zrobiła sylwetka, z której się z kolei zrobił chłopiec w pasiastej piżamie.

Na widok znajomej sylwetki Bruno się uśmiechnął i zaraz siadł po turecku, wyciągnąwszy wpieryw z kieszeni przemycony dla Szmula kawałek chleba oraz jabłko. Ale już z daleka było widać, że przyjaciel jest smutny o wiele bardziej niż zwykle, a podchodząc do ogrodzenia, nie sięgnął po poczęstunek tak łapczywie jak zawsze.

- Myślałem, że nigdy nie przyjdiesz - powiedział Bruno. - Czekałem i wczoraj, i przedwczoraj, i się nie zjawieś.

- Przepraszam - odparł Szmul. - Coś się stało.

Bruno spojrział na niego ze zmrużonymi oczami, próbując się domyślić, co takiego mogło się wydarzyć. Był ciekaw, czy dali znać Szmulowi, że też wraca do domu. Bo w końcu wszystko jest możliwe jak choćby to, że obaj urodzili się w tym samym dniu.

- No więc? - zapytał Bruno. - Słucham.

- Tato - odpowiedział Szmul. - Nie możemy znaleźć taty.

- Jak to? Zginął?

- Chyba tak. Był jeszcze w poniedziałek, a później wybrał się do pracy z kilkoma ludźmi, no i dotąd ich nie ma.

- I nic nie pisze? - spytał Bruno. A może zostawił kartkę, kiedy wróci?

- Niestety - odparł Szmul.

- No, faktycznie dziwne - rzekł Bruno. - Pewno już go szukałeś? - dodał po chwili.

- Jasne, że tak - z westchnieniem odpowiedział Szmul. - Zrobiłem to, o co się tak ciągle pytasz, wyruszyłem na wyprawę.

- I nic?

- Mhm.

- To bardzo dziwne - stwierdził Bruno.

- Ale jestem pewien, że nie ma się czym przejmować.

- Co ty? - zdziwił się Szmul.

- Pewnie ich zabrali do innego miasta i będą tam siedzieć, aż skończą pracę. Sam

wiesz, jak tutaj działa poczta. Z pewnością wróci lada dzień.

- Mam nadzieję - odparł Szmul z taką miną, jakby się zaraz miał rozplakać. - Bo nie wiem, jak sobie bez niego damy radę.

- Jak chcesz, zapytam ojca - rzekł ostrożnie Bruno, licząc, że Szmul się nie zgodzi.

- Może lepiej nie - odpowiedział Szmul, co trochę rozczarowało Brunona, bo nie zabrzmiało dość stanowczo.

- Dlaczego? - zapytał Bruno. - Ojciec świetnie się zna na życiu po tamtej stronie ogrodzenia.

- Żołnierze chyba nas nie lubią - odrzekł Szmul. - Nooo... - dodał, siląc się na wesołość. - W i e m, że nas nie lubią. Tylko nienawidzą.

Bruno aż się wyprostował ze zdumienia.

- Niemożliwe - odparł.

- Tak, tak - odpowiedział Szmul, pogardliwie krzywiąc usta. - Ale to nic, bo ja ich tak samo nienawidzę. Nienawidzę.

- Ale mojego ojca chyba nie? - spytał Bruno.

Szmul na to przygryzł wargi. Nieraz widywał ojca Brunona i nie mieściło mu się w głowie, jak ktoś taki może mieć tak przyzwoitego i grzecznego syna.

- No, dobra - odezwał się Bruno, odczekawszy stosowną chwilę, by tego tematu już nie drążyć. - Muszę ci coś powiedzieć.

- Naprawdę? - zaciekał się Szmul.

- Tak. Wracam do Berlina.

Zaskoczony Szmul aż otworzył buzię.

- A kiedy? - zapytał drżącym głosem.

- Jak dziś jest czwartek, to wyjeżdżamy chyba w sobotę. Po obiedzie.

- Na długo? - spytał Szmul.

- Zdaje się na zawsze - odparł Bruno. - Matka źle się tutaj czuje. Mówi, że to nie miejsce, by wychowywać dwójkę dzieci. No więc ojciec tu zostanie, bo Furia wiąże z nim wielkie nadzieje, a reszta ma wracać do domu.

Użył słowa "dom", choć teraz to sam nie wiedział, gdzie też ten "dom" jest naprawdę.

- Więc się nie zobaczymy? - zapytał Szmul.

- Kiedyś pewnie tak - odrzekł Bruno. - Mógłbyś przyjechać na wakacje do Berlina.

- Przecież tu nie będziesz siedział do skończenia świata?

Szmul pokręcił głową.

- Chyba nie - odpowiedział smutno. - Jak wyjedziesz, to już w ogóle nie będzie z kim

pogadać - dodał.

- No tak - przyznał Bruno i chciał jeszcze dorzucić: "Też mi cię będzie brakowało", ale się okropnie spieszył. - Czyli jutro widzimy się ostatni raz - ciągnął. - Musimy się pożegnać.

- Spróbuję przynieść coś wyjątkowego.

Szumul tylko mu przytaknął, z żalu niezdolny dobyć słowa.

- Tak bym chciał, żebyśmy się jeszcze razem pobawili - po długim milczeniu zaproponował Bruno. - By mieć co wspominać. Chociaż raz.

- Ja tak samo - wyznał Szmul.

- Rozmawiamy już ponad rok, a ani razu się nie bawiliśmy. I wiesz co? - dodał po chwili. - Cały czas patrzę przez okno, by zobaczyć, gdzie mieszkasz, a dotąd tam nie byłem.

- Nie spodobałoby ci się - stwierdził Szmul. - U ciebie jest dużo przyjemniej.

- No, ale sam się chcę przekonać - oświadczył Bruno.

Po chwili namysłu Szmul odrobinę uniósł siatkę tak, by się tam zmieścił chłopiec rozmiarów Brunona.

- No? - zachęcił. - Wchodzisz?

Bruno zawahał się, niepewny.

- Oj, chyba mi nie wolno.

- Przychodzić tu i rozmawiać ze mną co dzień też pewno ci zabronili - powiedział Szmul. - A przecież i tak masz to w nosie, prawda?

- Ale jak mnie złapią, dostanę za swoje - odrzekł Bruno, czując, że nie zachwyciłoby to rodziców.

- Racja. - Ze łzami w oczach Szmul opuścił siatkę. - Ale jutro przyjdiesz i się pożegnamy.

- Chwilę milczeli. Nagle Brunona olśniło.

- Chyba że... - By kielkujący pomysł dojrzał, chwilę trzeba było odczekać. Bruno pomacał się tam, gdzie niedawno jeszcze rosły bujne włosy, a teraz zaledwie meszek. - Pamiętasz, jak stwierdziliśmy, że jestem do ciebie podobny? - spytał Szmula. - No, przez tę ogoloną głowę.

- Tyle że jesteś grubszy - zgodził się Szmul.

- Skoro tak - ciągnął Bruno - to gdybym ubrał się w pasiastą piżamę, mógłbym do ciebie wpaść i nikt by się nie połapał.

Szumul się rozpromienił.

- Serio tak myślisz? Zrobiłbyś to, naprawdę?

- Pewnie - odpowiedział Bruno. - Ale byśmy mieli przygodę! Taką na sam koniec. A

poza tym wreszcie mógłbym coś tu odkryć.

- I pomóc mi znaleźć tatę - dodał Szmul.

- Czemu nie? - odrzekł Bruno. - Przejdziemy się trochę i sprawdzimy, czy nie ma jakichś śladów. Prawdziwi poszukiwacze tak zawsze postępują. Tylko jak zdobyć pizzamę w paski?

- To żaden problem - uspokoił go Szmul. - Przechowują je w takim domku. - Wyszukam ci i przyniosę coś w moim rozmiarze, a potem się przebierzesz i poszukamy taty.

- Kapitalnie. - Brunona wprost rozpieściła radość. - No, to mamy ustalone!

- Więc widzimy się jutro o tej samej porze - powiedział Szmul.

- Tylko już się nie spóźnij - upomniał Bruno, wstając i otrzepując się z pyłu. - I żebyś nie zapomniał o pasiastej pizzamie.

Tego popołudnia chłopcy wracali do domu w świetnym nastroju. Bruno wyobrażał sobie, jaka go czeka wspaniała przygoda, bo nie dość, że przed samym wyjazdem do Berlina wreszcie się przekona, co jest po tamtej stronie ogrodzenia, to na dodatek za pewne było tam co nieco do odkrycia. Szmul zaś dzięki temu zyskał pomocnika w poszukiwaniach taty.

Biorąc pod uwagę, że będzie to też ich pożegnanie, przygoda zapowiadała się całkiem nieźle.



## Co się zdarzyło na drugi dzień

Następny dzień, czyli piątek, znowu był deszczowy. Wyjrząwszy przez okno rankiem, tuż po obudzeniu, Bruno zauważył, że leje jak z cebra. Gdyby nie to, że po raz ostatni miał okazję spotkać się ze Szmulem i oczywiście przeżyć wspaniałą przygodę, która w dodatku wymagała przebrania, chętnie by sobie ten dzień podarował i odłożył całe przedsięwzięcie na któreś wolne popołudnie w nadchodzącym tygodniu.

Czas jednak płynął nieubłaganie. Choć z drugiej strony było bardzo wcześnie, więc do spotkania ze Szmulem wiele się jeszcze mogło zmienić. I do tej pory deszcz na pewno przejdzie - pomyślał Bruno.

Gdy wyglądał przez okno podczas rannych lekcji z Herr Lisztem, deszcz padał bez przerwy, hałaśliwie bębniąc o parapet. Gdy zerkał przy obiedzie z kuchni, zdecydowanie zaczęło się przejaśniać i zza czarnej chmury nawet wychynęło słońce. A po południu, w czasie zajęć z historii i geografii, ulewa najwidoczniej osiągnęła zenit, bo aż się trzęsło całe okno.

Na szczęście, gdy Herr Liszt wychodził, w końcu przestało padać, więc Bruno założył buty do kostek oraz gruby płaszcz i kiedy tylko droga była wolna, wyruszył na spotkanie Szmula.

Błoto chlupało pod nogami tak fajnie, jak nigdy dotąd. Z każdym krokiem Bruno miał wrażenie, że się zaraz potknie i wywróci, ale równowagę utrzymywał cały czas, nawet w tak wyjątkowo zdradliwym miejscu, gdzie podniósłszy nogę stwierdził, że pusty but utkwiał w błocie.

Choć niebo wciąż było mocno zachmurzone, Bruno uznał, że tego dnia dosyć się napadało, po południu więc raczej mu już nic nie grozi. Wiadomo, że potem, gdy wróci do domu, będzie musiał się tłumaczyć, skąd ten cały brud, ale wtedy odpowie, że normalnym chłopcom to się zdarza, a skoro on według matki jest normalnym chłopcem przypuszczalnie ujdzie mu to na sucho. (Matce dopisywał humor, bo parę dni wcześniej wszystkie co do jednej skrzynie z ich rzeczami oklejono i wpakowano na ciężarówkę, aby je wysłać do Berlina).

Szumul oczekiwał Brunona tam gdzie zawsze, po raz pierwszy jednak nie siedział po turecku, ze wzrokiem wbitym w ziemię tylko stał sobie oparty o drucianą siatkę.

- Cześć, Bruno - rzekł na widok przyjaciela.

- Cześć, Szmul - odpowiedział Bruno. - Nie byłem pewny, czy się jeszcze zobaczymy.

Z powodu ulewy i w ogóle - wyznał.

- Bałem się, że każą ci zostać w domu.

- Ach, przez tę okropną pogodę - odrzekł Bruno - niewiele brakowało i byśmy się nie spotkali.

Szumul wyciągnął ręce, a Bruno z zachwytu aż otworzył buzię. Szmul mianowicie przyniósł pasiaste spodnie, pasiastą górę od piżamy i płócienną czapkę identyczną jak jego.

Piżama nie wyglądała zbyt czysto, no ale była przebraniem, a jak wiadomo, szanujący się odkrywca musi mieć odpowiedni strój.

- Nadal chcesz mi pomóc szukać taty? - zapytał Szmul.

- Pewnie - bez namysłu odparł Bruno, choć o wiele ciekawsze od poszukiwań taty Szmula wydawało mu się zgłębianie świata po drugiej stronie ogrodzenia. - Możesz na mnie polegać.

Szumul uniósł drucianą siatkę i podał Brunonowi ubranie, uważając, by się przez przypadek nie powalało błotem.

- Dzięki. - Skrobiąc się po głowie, Bruno pomyślał z żalem, że nie wziął jakiegoś worka, aby schować do niego swoje ubranie, by się nie zabrudziło.

Bo i co za pożytek z ubłoconego ubrania? Niestety, nie miał wyjścia. Mógł je tu zostawić, a wtedy oczywiście będzie całe brudne. Albo w ostatniej chwili odwołać wyprawę, co każdy wybitny odkrywca uznałby za rzecz niedopuszczalną.

- Odwróć się - poprosił przyjaciela, który niepewnie dreptał w miejscu. - Nie chcę, żebyś patrzył.

Gdy Szmul się odwrócił, Bruno zdjął płaszcz i delikatnie ułożył go na ziemi.

Następnie zrzucił koszulę i zatrząsł się cały z zimna. Wkładając górę od piżamy przez głowę, wciągnął powietrze nosem było to dosyć niefortunne, bo miała niezbyt miły zapach.

- Kiedy ją ostatnio prali? - zawołał.

- Kto wie, czy w ogóle była prana - rzekł, odwracając się, Szmul.

- Odwróć się! - wrzasnął Bruno i Szmul go usłyszał.

Wtedy Bruno rozejrzał się wokół i widząc, że nikt nie nadchodzi, podjął trudną czynność zdejmowania spodni, z jedną nogą (w bucie) na ziemi. Przedziwnie ściągało się spodnie tak po prostu, w szczerym polu, więc Bruno miał nadzieję, że nikt go nie podpatrzy.

W końcu jednak z wielkim trudem jakoś tego dokonał.

- No - oznajmił Szmulowi. - Już się możesz odwrócić.

Szumul obrócił się w chwili, gdy Bruno, przyglądziwszy "kostium", wkładał pasiastą czapkę.

- Niesamowite! - Ze zdumienia Szmul wytrzeszczył oczy, bo gdyby Bruno był tak

samo wychudzony i tak przeraźliwie blade jak chłopcy po jego stronie ogrodzenia w życiu by ich pewnie nikt nie odróżnił. Właściwie to (zdaniem Szmula) wyglądali teraz identycznie.

- Wiesz, z czym mi się to kojarzy? - spytał Bruno.

- No, z czym?

- Przypomniała mi się babcia. Ta, co umarła. Mówiłem ci, pamiętasz?

Szum skinął głową. Pamiętał, bo już od roku Bruno ciągle o niej opowiadał; jak bardzo ją kochał i jak mu jest przykro, że nie znalazł czasu, by do niej napisać, nim odeszła.

- Przypomniały mi się sztuki, które wystawiała ze mną i z Gretel - ciągnął, starając się nie patrzeć na Szmula, bo pewne wspomnienia z Berlina nie całkiem jeszcze wyblakły. - Pamiętam, jak zawsze trafnie doбираła mi kostium. "Odpowiedni strój pozwala się wczuć w rolę" powtarzała. I chyba właśnie to robię, prawda? Wczuwam się w osobę z drugiej strony ogrodzenia.

- Czyli w Żyda - stwierdził Szmul.

- Tak - odrzekł Bruno, niepewnie przestępując z nogi na nogę. - Mhm.

Szum wskazał masywne buty na nogach przyjaciela.

- Je też musisz zostawić - pouczył.

Bruno był przerażony:

- A błoto? Przecież boso iść nie mogę!

- Zaraz by cię rozpoznali - wyjaśnił Szmul. - Po prostu musisz je zdjąć.

Bruno westchnął, ale widząc, że przyjaciel ma rację, zszedł buty i skarpetki i ułożył je koło sterty ubrań na ziemi. Z początku czuł się okropnie, bo gołe nogi utknęły w błotnistej mazi aż po kostki i z każdym krokiem jakby się zapadał głębiej dość szybko jednak uznał, że właściwie to całkiem fajne.

Szum schylił się i unióśł drucianą siatkę, a że to było możliwe tylko do pewnej wysokości, Bruno musiał się pod nią przeczołgać, no i cała piżama została upaprana błotem.

Widząc to, roześmiał się w głos, bo aż tak cudownie nie wybrudził się jeszcze nigdy.

Szum też się uśmiechnął i przez chwilę stali bez ruchu, bo oto po raz pierwszy znaleźli się po tej samej stronie ogrodzenia.

Bruno miał wielką ochotę uścisnąć Szmula, żeby mu pokazać, jak bardzo go lubi i jak już od ponad roku wielką przyjemność sprawiają mu wspólne rozmowy.

I Szmul miał wielką ochotę uścisnąć Brunona z wdzięczności za różne miłe gesty i za jedzenie, i za to, że teraz pomaga w poszukiwaniu ojca.

Nie uścisnęli się jednak, tylko poszli w głąb obozu, tą samą drogą, którą Szmul pokonywał co dzień od momentu, gdy mu się udało zmylić czujność żołnierzy i przedostać w

miejsce prawie nie strzeżone, gdzie raz szczęśliwym trafem spotkał Brunona i znalazł w nim przyjaciela.

Wkrótce dotarli do celu. Bruno otworzył oczy ze zdumienia, bo do tej pory zawsze sobie wyobrażał, że w tych domkach mieszka pełno radosnych, wesołych ludzi, którzy pod wieczór lubią przysiąść w bujanym fotelu i z rozrzwinięciem wspominać dawne dobre czasy, kiedy to dzieci, nie tak jak dzisiaj, do starszych odnosiły się z szacunkiem. Poza tym wydawało mu się, że mieszkający tutaj chłopcy i dziewczynki osobno będą grać w tenisa i w piłkę nożną albo skakać przez skakankę i grać w klasy.

Spodziewał się, że w centrum będzie sklep, a może i kawiarenka, podobna do tych w Berlinie. No i pewnie choć jeden stragan owocowowarzywny.

Tymczasem się okazało, że nic takiego tutaj nie ma.

Wcale nie było dorosłych, którzy wysiadują na ganku w bujanym fotelu.

Ani gromadek rozbawionych dzieci.

I ani jednego straganu z owocami i warzywami, nie wspominając już o takiej kawiarni, co to się w Berlinie widuje na każdym kroku.

Wszędzie tylko tłum ludzi siedzących w grupach, ze wzrokiem utkwionym w ziemi, przeraźliwie smutnych. Każdy bez wyjątku potwornie wychudzony, z zapadniętymi oczami i ogoloną głową, więc Bruno zaraz pomyślał, że tu też panuje wszawica.

W jednym rogu trzech żołnierzy pilnowało dwudziestu mężczyzn. Żołnierze krzyczeli, a oni padali na kolana, kryjąc twarze w dłoniach.

Nieopodal grupa żołnierzy ze śmiechem zabawiała się pistoletami, celując w różne strony.

Ale nie strzelali.

Właściwie wszędzie widziało się tylko albo wesołych i hałaśliwych żołnierzy w mundurach, albo smutnych, zapłakanych ludzi w pasiastych piżamach, z tak błędnym wzrokiem, jakby spali.

- Niezbyt mi się tu podoba - powiedział po dłuższej chwili Bruno.

- Mnie tak samo - zgodził się Szmul.

- Chyba powinienem wracać - stwierdził Bruno.

Szmul się zatrzymał i spojrzał na niego.

- A tato? - zapytał. - Obiecałeś mi pomóc go znaleźć.

Bruno zamyślił się. Faktycznie złożył taką obietnicę, toteż nie powinien zawieść przyjaciela, zwłaszcza że tego dnia widzieli się po raz ostatni.

- Dobrze - odpowiedział, choć teraz wcale już się nie czuł tak pewnie jak na początku.

- Tylko gdzie go szukać?

- Mówiłeś, że trzeba sprawdzić, czy nie ma jakichś śladów - odparł Szmul z niepokojem, bo przecież mógł liczyć tylko na jego pomoc.

- Racja - skinieniem potwierdził Bruno. - Więc bierzmy się do roboty.

Tak oto Bruno dotrzymał słowa i przez półtorej godziny wspólnie szukali śladów po całym terenie. Nie wiedzieli za bardzo, jakie to mają być ślady, lecz Bruno w kółko powtarzał, że jak się na coś natkną, to, jak przystało na prawdziwych odkrywców, od razu się zorientują.

Nie znaleźli jednak niczego, co by im pomogło rozwikłać tajemnicę zniknięcia taty Szmula, gdy tymczasem pomału zapadał zmrok.

Bruno spojrział w niebo i stwierdził, że znowu zbiera się na deszcz.

- Przykro mi, Szmul - powiedział. - Tak bardzo mi żal, że nic nie znaleźliśmy.

Szmul smutno pokiwał głową. Prawdę powiedziawszy, nie był zaskoczony, bo też nie robił sobie wielkich nadziei. No, ale przyjemnie było zaprosić przyjaciela i pokazać mu, gdzie mieszka.

- Muszę się zbierać - rzekł Bruno. - Odprowadzisz mnie pod ogrodzenie?

Szmul już otwierał usta, lecz w tej samej chwili rozległ się głośny gwizd i miejsce, gdzie stali chłopcy, otoczyło aż dziesięciu żołnierzy.

- Co to się dzieje? - szepnął Bruno. - O co chodzi?

- Czasem się tak zdarza - odpowiedział Szmul. - Rozkazują ludziom maszerować.

- Maszerować? - odparł Bruno z niesmakiem. - Ani mi się śni. Muszę być na kolacji.

Dziś jest pieczeń wołowa.

- Ciii - Szmul przytknął palec do warg. - Lepiej siedź cicho, bo się rozzłoszczą, Bruno zmarszczył brwi, ale zaraz poczuł ulgę, bo popychani przez żołnierzy ludzie w pasiastych pizamach zbili się w ciasną gromadę, a on ze Szmulem stali w samym środku, więc byli jakby niewidzialni. Nie wiedząc, czemu wszyscy tak się boją, bo przecież marsz to nic wielkiego, miał ochotę (szepem) im powiedzieć, że nie warto się przejmować, bo skoro ojciec jako komendant wymaga od nich takich rzeczy, to z całą pewnością nic im nie grozi.

Znów dał się słyszeć gwizd i cała ta, licząca pewnie ze sto osób, gromada ruszyła miarowym krokiem. Ściśnięci w środku Bruno ze Szmulem tak samo. Gdzieś na końcu powstało zamieszanie, bo kilka osób, zdaje się, nie miało ochoty maszerować, Bruno jednak był za niski, żeby zobaczyć, o co chodzi, i usłyszał tylko jakieś dziwne odgłosy być może strzałów lecz nie miał pewności.

- Długo trwa taki marsz? - wyszeptał Bruno, bo już trochę zgłodniał.

- Chyba nie - odparł Szmul. - Nikogo po marszu jeszcze nie widziałem, ale według mnie to krótko.

Bruno się skrzywił. Gdy znów spojrział w górę, rozległ się kolejny huk, tym razem odgłos gromu. Niebo prawie natychmiast zasnuły chmury, tak że zrobiło się aż smoliste, i lunął rześisty deszcz, o wiele gorszy niż nad ranem. Bruno na chwilę przymknął oczy w lodowatych strugach. A gdy je znów otworzył, okazało się, że właściwie wcale nie maszeruje, tylko ci ludzie pchają go naprzód. Cały był umazany błotem i piżama tak ohydnie lepiała mu się do skóry, że ze wszystkich sił zapragnął jak najszybciej znaleźć się w domu i zamiast bezwolnie tonąć w ludzkiej ciżbie, popatrzeć na to z daleka.

- Mam dość - oznajmił Szmulowi. - Zaraz się przeziębę. Muszę wracać.

Ale dosłownie po kilku krokach poczuł, że ulewa ustała, to znaczy: wszyscy stłoczyli się w jakimś długim pomieszczeniu, zaskakująco ciepłym i zbudowanym wyjątkowo porządnie, bo nie docierała tutaj ani kropla deszczu. Tak jakby było hermetyczne.

- No, nieźle - stwierdził uradowany, że wreszcie nie pada mu na głowę. - Pewno tu zaczekamy, aż się trochę przejaśni, i w końcu będę mógł iść do domu.

Szmul przylgnął do Brunona i spojrział lęklwym wzrokiem.

- Nie gniewaj się, że nie znaleźliśmy taty - przeprosił Bruno.

- Daj spokój - odrzekł Szmul.

- I szkoda, żeśmy się nie zdążyli pobawić, no ale to nadrobimy, jak przyjedziesz do Berlina. Przedstawię cię. Zaraz, jak oni mają na imię? - zmartwił się, bo trzej niby najlepsi w całym życiu przyjaciele zupełnie mu wylecieli z głowy.

Całkiem zapomniał ich imion i tak samo nie mógł sobie przypomnieć twarzy.

- A zresztą - popatrzył na Szmula - to nieważne. I tak już przecież nie są moimi najlepszymi przyjaciółmi - mówiąc to, wykonał gest całkiem nie w swoim stylu: ujął i mocno uściśnął rączkę Szmula.

- Ty jesteś moim najlepszym przyjacielem - wyznał. - Najlepszym w całym życiu.

Szmul, zdaje się, otworzył usta, by coś odpowiedzieć, lecz Bruno go nie usłyszał, bo akurat wtedy stłoczeni ludzie wydali głośne westchnienie, a za zamkniętymi nagle drzwiami coś jakby brzęknęło.

Próbując pojąć, co też to ma znaczyć, Bruno uniósł brwi i zaraz stwierdził, że pewnie zamknięto drzwi przed deszczem, aby się ktoś przypadkiem nie przeziębził.

W nieprzeniknionym mroku i zgiełku Bruno nadal ścisnął dłoń Szmula i pomyślał, że choćby nie wiem co, nie puści jej przenigdy.

## Ostatni rozdział

Odtąd słuch po Brunonie zagaął.

Kilka dni później, kiedy żołnierze przeszukali cały dom i przeszli po okolicznych wioskach i miasteczkach, pokazując wszystkim zdjęcie chłopca jeden szeregowy znalazł przy ogrodzeniu buty i ubranie. Nie tknąwszy ich, pędem pobiegł po komendanta, który zbadał teren i rozejrzał się dokoła, tak samo jak Bruno lecz co się stało z chłopcem, nie potrafił dociec żadną miarą. Synek jak gdyby znikł z powierzchni ziemi i zostało po nim tylko to ubranie.

Matka nie wróciła do Berlina tak szybko, jak zamierzała. Wyczekując wieści o Brunonie, została w PoŚwieciu kilka miesięcy aż pewnego dnia, całkiem nagle, stwierdziła, że może wybrał się do domu sam, i prędko pojechała do Berlina, z niejasną nadzieją, że syn wypatruje jej w progu.

Ale oczywiście go tam nie zastała. Gretel wróciła z matką i od rana do nocy płakała samotnie w swym pokoju nie dlatego jednak, że się pozbyła lalek i zostawiła w PoŚwieciu wszystkie mapy, tylko z potwornej tęsknoty za braciszkiem.

Ojciec pracował w PoŚwieciu jeszcze przez rok, ale żołnierze bardzo go znieubili, bo był wobec nich bezlitosny. Co wieczór zasypiał pogrążony w myślach o synu i co rano budził się z myślą o nim. Któregoś dnia wysnuł teorię na temat jego zniknięcia i raz jeszcze udał się pod ogrodzenie, tam gdzie przed rokiem znaleziono kupkę ubrań chłopca.

Choć miejsce to nie wyróżniało się niczym szczególnym, ojciec gruntownie je przeszukał i wykrył, że druciana siatka nie jest, tak jak wszędzie, porządnie przymocowana do ziemi i że kiedy ją unieść, ktoś bardzo drobny (na przykład chłopiec) może się tam przeczołgać bez trudu. Następnie oszacował wzrokiem teren i zrobił wizję lokalną, powoli odmierzając kroki tak długo, aż mu nogi odmówiły posłuszeństwa, jakby niezdolne już go wspierać. Wreszcie siadł na ziemi, prawie tak samo jak Bruno siadał cały rok w każde popołudnie, tyle że nie po turecku.

Po kilku miesiącach w PoŚwieciu zjawili się całkiem inni żołnierze i zabrali ojca, który nie stawiał oporu i nawet się ucieszył, bo przyszłość i tak była mu już całkiem obojętna.

Tu kończy się opowieść o Brunonie i jego najbliższych. Rzecz jasna, zdarzyło się to wszystko dawno temu i nie powtórzy się już nigdy.

Na pewno nie w naszych czasach.

## **Podziękowania**

Za cenne rady i wnikliwe wskazówki dziękuję Davidowi Ficklingowi, Belli Pearson i Lindzie Sargeant.

Za wspieranie mnie w pracy nad książką dziękuję memu agentowi Simonowi Trewinowi.

I wreszcie drogiej przyjaciółce Janette Jenkins, której entuzjazm po lekturze pierwszej wersji był dla mnie ogromną inspiracją.